

Ostra Brama – polski heroizm

młodość w walce z komuną

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 7(403) LIPIEC 2024



ANKONA
w lipcu 1944 roku

„O tym, co się stało na Wołyniu
nie zapomnę nigdy”



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 7(403) lipiec 2024

facebook

dołącz do nas na facebooku
www.facebook.pl/udskior

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE

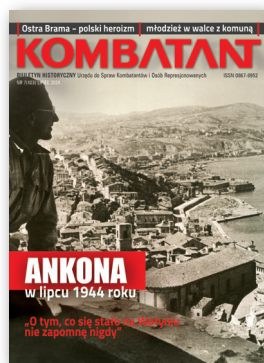
Partnerem Projektu jest
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3700 egz.



w numerze

3 Sprawa Pani Danuty Wałęsy

W pierwszych dniach czerwca szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych potwierdził status działaczki opozycji demokratycznej Pani Danucie Wałęsie

Lech Parell

5 „Ostra Brama” – polski heroizm, sowiecka zdrada

Czy słowo honoru dane przez oficera Armii Czerwonej mogło mieć jakąkolwiek wartość? Dramatyczny finał operacji „Ostra Brama” sprzed 80 lat jednoznacznie pokazuje, że nie

Waldemar Kowalski

10 Bitwa o Ankonę

22 maja 1944 roku szefowie Sztabów Połączonych zdecydowali skierować do działania na południu Francji siedem dywizji z frontu włoskiego. Generał Wilson postanowił wykorzystać jednostki do przełamania niemieckiej linii obrony w Apeninach Północnych

Zbigniew Wawer

14 O tym, co się stało na Wołyniu nie zapomnę nigdy

Czas leczy rany, ale o tym, co się stało na Wołyniu nie zapomnę nigdy – opowiada ocalona z Wołynia blisko 85-letnia Marianna Sikora-Zawiślak

Katarzyna Krzykowska

17 W cywilnym ubraniu... – przygotowanie żołnierzy 2. Korpusu Polskiego do demobilizacji w Wielkiej Brytanii

Pokonanie III Rzeszy i zakończenie II wojny światowej były powodami do świętowania. Początkowa euforia szybko zastąpiona została pytaniem „co dalej?”

Jakub Żak

23 Jak młodzież walczyła z komuną przy pomocy „gadał”

Wraz z rozwojem opozycji, szczególnie w latach 80. rosła ilość oraz różnorodność form „walki z komuną”. W ostatniej dekadzie PRL pojawiła się m.in. niezależna radiofonia. Miała ona zresztą nader zróżnicowane oblicza

Grzegorz Majchrzak

28 Artyści wspierający Solidarność, czyli Jack Nicholson i akcja Jerzego Koźnika

Znamienne były wydarzenia festiwalu filmowego w Cannes 1981 roku, kiedy znaczek Solidarności został rozpropagowany przez Jacka Nicholsona. Kilka lat później z podobnymi znaczkami wpiętymi w swoje kreacje, dumnie pokazywały się inne gwiazdy

Mateusz Wyderka

31 Pożegnanie mjr. Stosława Kowalskiego

OKŁADKA: Ankona po zdobyciu przez żołnierzy
2. Korpusu Polskiego FOT. NARODOWE ARCHIWUM
CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Dlaczego sprawa Pani Danuty Wałęsy jest ważna dla nas wszystkich

Zapewne już Państwo o tym słyszeliście, ale chcę Państwu to przekazać bezpośrednio. W pierwszych dniach czerwca zdecydowałem o potwierdzeniu Pani Danucie Wałęsie statusu działaczki opozycji demokratycznej.

Jest to decyzja bardzo ważna i wykracza poza sprawę jednej osoby. To decyzja, która powinna była być podjęta już sześć lat temu, a więc w roku 2018 i 2019, kiedy to Pani Wałęsa pierwszy raz wniosła o rozpatrzenie jej wniosku. Tak się wtedy nie stało. Według mojej oceny – przede wszystkim z politycznych powodów. Obecnie, po dwóch odmowach uznania roli Pani Danuty Wałęsy, które miały miejsce w latach 2018 i 2019, jako szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych (urzędujący od 20 lutego br.) podjąłem decyzję pozytywną, jaka powinna była zapaść od samego początku.

Informuję o tym, ponieważ chciałbym zapewnić wszystkim, że żadne sympatie czy też antypatie polityczne nie będą miały wpływu na decyzje podejmowane przez Urząd, którym kieruję. W żadnej rozpatrywanej sprawie. Urząd będzie działał obiektywnie, niezależnie od tego czyją sprawę będzie rozpatrywał. Znane nazwisko nie może oznaczać dla nikogo taryfy ulgowej. Jednak nie może być również tak, że pokrewieństwo z kimś dla danej władzy niewygodnym, będzie rzutowało na obiektywizm Urzędu. A tak właśnie było w tej sprawie.

W celu zwiększenia gwarancji naszych Podopiecznych zdecydowałem o powołaniu od 1 czerwca nowego stanowiska: Rzecznika Praw Strony. Mam wobec niego wielkie nadzieje i oczekiwania. Jego zadaniem będzie dodatkowa analiza spraw tak, aby jeszcze lepiej zabezpieczyć prawa wnioskodawców. Liczę, że Rzecznik jako ciało doradcze, spełni swoją rolę. Nie będzie on w żadnym stopniu zastępował urzędników, którzy rozpatrują daną sprawę. Będzie miał jednak wgląd w dokumenty i będzie mógł doradzić np. przesłuchanie dodatkowych świadków albo podjęcie innych działań.

Moim celem, tak jak wszystkich Pracowników, jest stałe doskonalenie Urzędu i dążenie do obiektywizmu. Mam nadzieję, że zechcecie Państwo nas w tym dziele wspierać.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



FOT. SŁAWOMIR FIEBIG / ZBIORY EUROPEJSKIEGO CENTRUM SOLIDARNOŚCI

Fragment uzasadnienia decyzji w sprawie Pani Danuty Wałęsy:

„Ze zgromadzonego w sprawie materiału dowodowego wynika, że Pani Danuta Wałęsa co najmniej od 1978 roku prowadziła działalność opozycyjną w rozumieniu art. 2 ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej. Zgodnie z oświadczeniem własnym oraz świadków, odbierała i przekazywała m.in. prasę bezdebitową („Robotnik”, „Biuletyn Informacyjny” i „Głos”), ulotki i książki wydawnictwa „Alternatywy”. Uczestniczyła w wydarzeniach o charakterze patriotycznym, w zastępstwie zatrzymanego przez milicję męża. Np. w dniu 25 marca 1980 r. brała udział w pogrzebie zmarłego w niewyjaśnionych okolicznościach Tadeusza Szczepańskiego, gdzie przyniosła i składała wieniec pogrzebowy. Informowała o zatrzymaniu małżonka – Lecha Wałęsy i innych działaczy.

Po wprowadzeniu stanu wojennego i podczas internowania Pana Lecha Wałęsy, została jego rzecznikiem. Występowała publicznie na konferencjach prasowych, utrzymywała kontakty, przekazywała dziennikarzom zachodnim informacje, prezentując stanowisko przewodniczącego „Solidarności”.

Powyższe informacje znajdują potwierdzenie w wydawnictwach:

- Andrzej Friszke. Sprawa jedynastu, Uwięzienie przywódców NSZZ „Solidarność” i KSS „KOR” 1981–1984, Kraków 2017,
- Stan Wojenny w Polsce 1981–1983, praca zbiorowa pod red. Antoniego Dudka, Warszawa 2003,

- Solidarność podziemna 1981–1989, praca zbiorowa pod red. Andrzeja Friszke, Warszawa 2006,
- Teresa Torańska. My. Warszawa 2012.

Danuta Wałęsa występowała także publicznie podczas nielegalnych manifestacji patriotycznych. W domenie publicznej dostępne są materiały ikonograficzne potwierdzające co najmniej niektóre z tych wystąpień. Tak było m.in.:

- 1 maja 1982 roku (Ikonografia: zbiory fotograficzne Europejskiego Centrum Solidarności oraz zbiory: kfp.pl), w trakcie której to demonstracji w oknie mieszkania na Zaspie przy pomocy księdza Henryka Jankowskiego Wnioskodawczyni rozwinęła transparent zdelegalizowanej przez władze „Solidarności”,
- 14 listopada 1982 roku, wspólnie z Lechem Wałęsą manifestowała po jego uwolnieniu z internowania (Ikonografia: zbiory fotograficzne Ośrodka Karta, zbiory fotograficzne IPN)

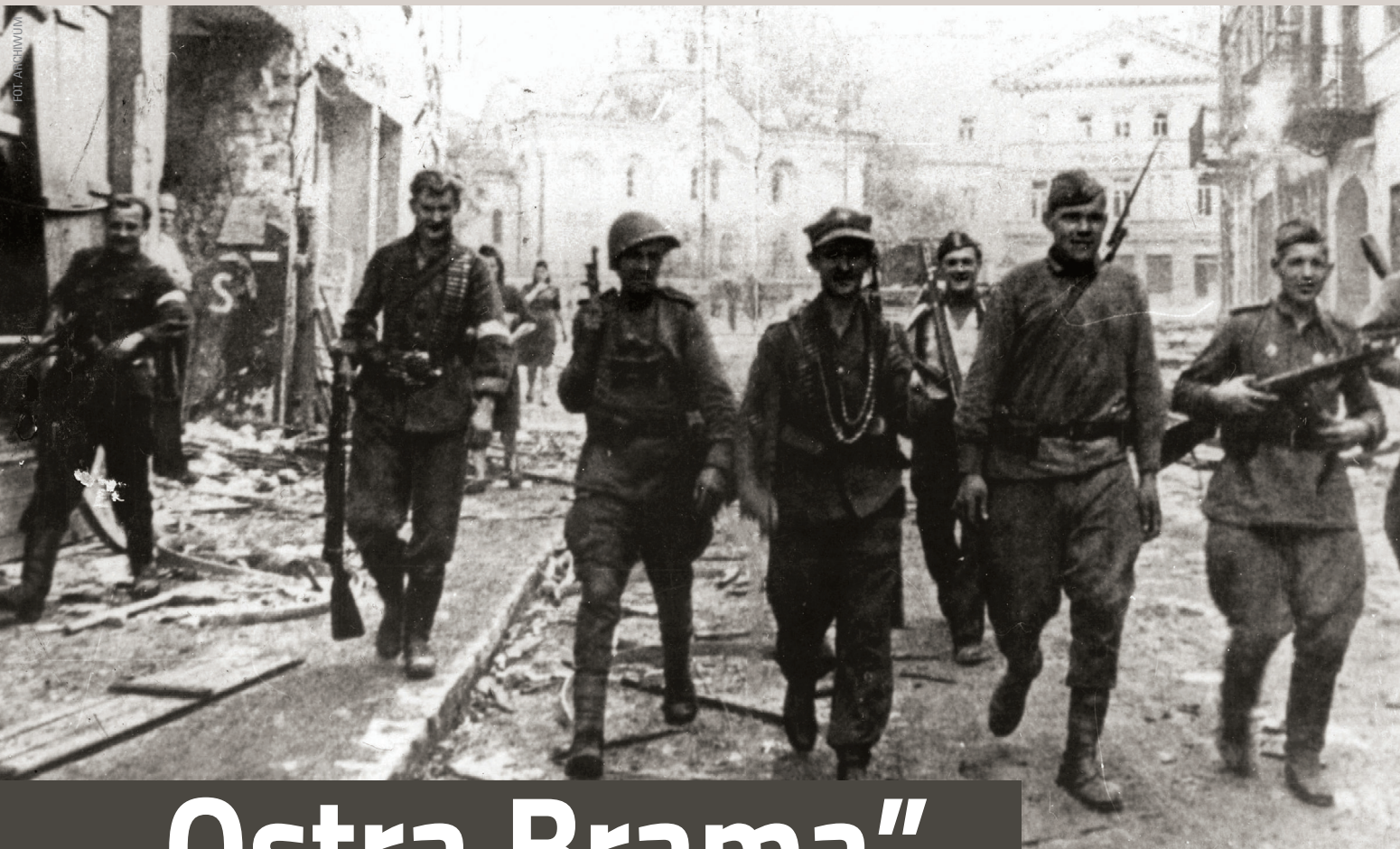
- Danuta Wałęsa była także współorganizatorką wydarzeń o wymowie wymierzonej w komunistyczne władze, jak manifestacyjne nadanie córce imienia Wiktoria podczas chrztu, udzielonego przez kapelana Solidarności ks. Henryka Jankowskiego. Akt ten stał się okazją do demonstracji antykomunistycznej, był nagłośniony przez media podziemne oraz zagraniczne rozgłośnie i poniósł się szerokim echem (Ikonografia: zbiory fotograficzne Ośrodka Karta).

Ponadto Danuta Wałęsa reprezentowała polską opozycję antykomunistyczną odbierając w imieniu Lecha Wałęsy Nagrodę Nobla w dniu 10 grudnia 1983 roku. Było to wydarzenie, w które była zaangażowana duża liczba działaczy antykomunistycznego podziemia w kraju i zagranicą.

Powyższa lista nie musi wyczerpywać dokonań Wnioskodawczyni, ale jest wystarczająca do potwierdzenia Statusu Działacza Opozycji Antykomunistycznej.



Zdjęcia pochodzą z manifestacji przed blokiem, w którym mieszkali Wałęsowie. Gdańsk-Zaspa, 1 maja 1982 r. FOT. LEONARD SZMAGLIK / KFP



„Ostra Brama”

– polski heroizm, sowiecka zdrada

TEKST | Waldemar Kowalski

Czy słowo honoru dane przez oficera Armii Czerwonej mogło mieć jakąkolwiek wartość? Dramatyczny finał operacji „Ostra Brama” sprzed 80 lat jednoznacznie pokazuje, że nie. Wystarczyły sowieckie wiarołomstwo i podstęp, aby przejąć kontrolę nad Wilnem i skutecznie pozbyć się polskich bohaterów.

S talin nie zamierzał oddać Polsce Wilna za żadną cenę, a jego los – tak jak i całej Wileńszczyzny – był przesadzony na długo przed rozpoczęciem walk o miasto. Fakt, że z rąk Niemców oswojono je także polskimi siłami nie miał dla sowieckiego dyktatora żadnego znaczenia...

„Wyzwoliciele” ze wschodu

Wraz z nadejściem 1944 roku przed Komendą Główną Armii Krajowej i Rządem RP na Uchodźstwie pojawiły się nowe wyzwania i problemy. Przekroczenie przez wojska sowieckie przedwojennej granicy Polski wymusiło zmianę koncepcji oporu i usto-

sunkowanie się do „wyzwolicieli”, idących ze wschodu... To, że Niemcy – mimo że znajdujące się od miesięcy w odwrocie – pozostawały głównym wrogiem, na ogół nie budziło zastrzeżeń, jednak sztabowcy AK zdawali sobie sprawę z nowych niebezpieczeństw. Pamiętano inwazję Armii

Czerwonej sprzed kilku lat, koszmar sowieckiej okupacji, zbrodnie NKWD, a w szczególności Katyń. Sowieci do końca starali się tuszować swoje zbrodnie. Czy po tym wszystkim można było jeszcze wierzyć w ich pokojowe zamiary?

Wątpliwe, choć ich mocna pozycja w koalicji antyniemieckiej, a także sukcesy na froncie wschodnim, zmuszały dowódców AK i polityków w Londynie do „podwójnej gry”. Efektem była kompromisowa postawa zachowania lojalności wobec sojuszników (Wielkiej Brytanii i USA), a także „sojuszników naszych sojuszników”, czyli ZSRS. Jakikolwiek współdziałanie z Armią Czerwoną miało być jednak uzależnione od uznania pełni praw Polaków do posiadania własnego, niepodległego państwa.

Tak zrodziła się idea planu „Burza”, realizowanego już od stycznia 1944 roku na Wołyniu, będącego w zasadzie strefowym powstaniem, militarne wymierzonym w Niemców, a politycznie – w Sowietów. „Burza”, określona w rozkazie dowódcy AK gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego jako „wzmoczona akcja sabotażowo-dywersyjna”, była zwieńczeniem dotychczasowego, czteroletniego wysiłku zbrojnego Polskiego Państwa Podziemnego. Miała – jak precyzował Bór-Komorowski – polegać na *zaciętym nękanii cofających się straży tylnych niemieckich (...), na silnej dywersji na całej głębokości terenu, w szczególności na komunikację*. Także na tym, by *wobec wkraczającej na ziemie nasze regularnej armii rosyjskiej wystąpić w roli gospodarza*.

Integralną częścią „Burzy” była operacja „Ostra Brama”, której pomysłodawcą był mjr Maciej Kalenkiewicz, zaprawiony w bojach oficer z bogatą niepodległościową kartą – jako hubalczyk, cichociemny i dowódca Zgrupowania Nadniemeńskiego Okręgu Nowogródek AK. Zgodnie z założeniami, Wilno miało zostać zdobyte wyłącznie



Centrum Wilna na niemieckim zdjęciu lotniczym z 20 lipca 1944 r.

polskimi rękoma, jeszcze przed nadejściem Armii Czerwonej. Dowództwu chodziło o stworzenie faktów dokonanych, gwarantujących – jak sądzono – polskość wyzwolonego terytorium. Jaką postawę przyjąć wobec Armii Czerwonej? Jak zachowają się Sowieci na widok ujawniających się żołnierzy AK? Potraktują ich jak sojuszników czy wrogów? Te i wiele innych pytań musiało nurtować polskich dowódców, którzy planowali operację odbicia Wilna.

– *Wierzymy, że [Armia Czerwona – red.] uszanuje nasze umiłowanie Ojczyzny, Jej Wolność, Niepodległość i Niepodzielność. Spotykamy Armię Sowiecką jako sprzymierzeńca naszych Aliantów i nadal wesprzemy jej zbrojny wysiłek w walce z Niemcami, bijąc oddziały wroga i udzielając wkraczającej Armii Sowieckiej poparcia i pomocy. Polecam Dowódcom Oddziałów Armii Krajowej przy spotkaniu Armii Sowieckiej ujawniać się*

celem uzgodnienia akcji wojskowej w walce ze wspólnym wrogiem – pisał ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wilk” w rozkazie wydanym przed rozpoczęciem „Ostrej Bramy”.

Mało kto zakładał wówczas, że rzeczywistość okaże się o wiele bardziej skomplikowana...

Musimy do końca wytrwać na posterunku

Gdy w trzeciej dekadzie czerwca 1944 roku na terenach białoruskich ruszyła sowiecka ofensywa, komendant okręgów AK Wilno i Nowogródek ppłk „Wilk” zarządził koncentrację sił. Nie był pewien zamiarów zbliżających się Sowietów, ale też nie miał sprawdzonych informacji na temat rzeczywistej siły bojowej Niemców. Mimo wszystko zamierzał – jak wyjaśniał – *walką żołnierza polskiego zadokumentować nienaruszalność ziem północno-wschodnich*.

Warto podkreślić, że – rozpoczynając przygotowania do walki o oswobodzenie miasta nad Wilią – dowództwo AK nie dysponowało wiedzą na



GENERAL BOR KOMOROWSKI C.-IN-C. OF THE POLISH ARMED FORCES AND LEADER OF THE WARSAW RISING, WHO HAS NOW ARRIVED IN ENGLAND FOLLOWING HIS LIBERATION FROM A GERMAN PRISON CAMP.

Dowódca Armii Krajowej gen. Tadeusz Bór-Komorowski nazwał w swoim rozkazie plan „Burza” wzmoczoną akcją sabotażowo-dywersyjną FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

temat ustaleń, które zapadły w Teheranie, gdzie 1 grudnia 1943 roku zakończyła się konferencja tzw. Wielkiej Trójki. Alianci uzgodnili wówczas, że ziemie polskie znajdują się w strefie operacyjnej.

– *Wybiła godzina dziejowa. Barbarzyńskie hordy hitlerowskie w popłochu uchodzą. Klęska ich we Francji, we Włoszech i na wschodzie jest nieunikniona i nieubłagana. Tutejszą umęczoną ziemię jeszcze raz nawiedza pożoga wojenna. My, dzieci tej naszej świętej ziemi, musimy do końca wytrwać na posterunku, a swoim czynem zbrojnym i postawą przyczynić się do zwycięstwa. W ten sposób wywalczymy sobie Wolność i Niepodległość* – przekonywał 1 lipca ppłk Krzyżanowski w odezwie do swych podkomendnych.

Uderzenie na Wilno miało nastąpić 7 lipca o godz. 23.00. Termin ten wybrano nieprzypadkowo – zamierzano bowiem uprzedzić idącą od wschodu armię sowiecką, a godzina natarcia miała sprzyjać wykorzystaniu ele-



Podpułkownik Aleksander Krzyżanowski „Wilk” komendant okręgów AK Wilno i Nowogródek FOT. ARCHIWUM

Wybiła godzina dziejowa. Barbarzyńskie hordy hitlerowskie w popłochu uchodzą. Klęska ich we Francji, we Włoszech i na wschodzie jest nieunikniona i nieubłagana

mentu zaskoczenia. Zupełnie mylnie zakładano, że Polakom przyjdzie walczyć ze zdezorientowanym, niewielkim niemieckim garnizonem miasta.

Co więcej, dowództwo AK nie spodziewało się, że całą operację wojskową uzależni od... postępów błyskawicznej sowieckiej ofensywy 3. Frontu Białoruskiego. Aby zdążyć przed czerwoarmistami, pośpiesznie zdecydowano o realizacji akcji, i to przy wykorzystaniu zaledwie ok. 30 proc. sił, przewidzianych do walki.

Ze względu na problemy z koncentracją (rozkazy dostarczano poprzez gońców, a nie drogą radiową) oraz w związku z wycofaniem się na zachód oddziału podległego mjr. Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszce”

(uzyskał wcześniej zgodę ppłk. Krzyżanowskiego) – który nie chciał w Wilnie „defilować przed Ruskimi” – do walki gotowych było zaledwie niepełna cztery tys. z ok. 13 tys. przeznaczonych do tego celu żołnierzy. Uszczuplone i nieprzystosowane do boju w warunkach miejskich oddziały nie mogły samodzielnie zdobyć Wilna, bronionego przez ponad 17 tys. niemieckich żołnierzy i zamienionego wcześniej – zgodnie z rozkazem Hitlera – na twierdzę. Garnizonem miasta dowodził gen. Rainer Stahel, ten sam, który w sierpniu 1944 roku – jako komendant wojskowy okupowanej polskiej stolicy – tłumił powstańczy opór w Warszawie.

Za polskość Wilna!

Polacy zaatakowali Wilno nocą z 6 na 7 lipca, ok. godz. 2.00, nacierając od południowo-wschodniej strony oraz natrafiając na zmasowany ogień nieprzyjaciela.

Pomimo piętzących się trudności, 3. Brygada AK por. Gracjana Fróga „Szczerbca”, po m.in. zaciętej walce z niemieckim pociągiem pancernym w pobliżu stacji Kolonia Wileńska, przedarła się przez nieprzyjacielskie pozycje i zdobyła wschodnie przedmieścia miasta. Z kolei żołnierze konspiracyjnego garnizonu wileńskiego (ok. tysiąc ludzi) opanowali prawobrzeżną część Wilna.

Powstańcy mogli liczyć na wsparcie swych rodaków – mieszkańców miasta. Jednak bez broni ciężkiej, mając do dyspozycji zaledwie dwa działka przeciwpancerne oraz kilka granatników i moździerz, żołnierze AK nie byli w stanie przełamać głównej niemieckiej linii obrony (biegła przez Lipówkę, Rosę i Hrybiszki). Wróg dysponował znaczną siłą ognia: artylerią, czołgami i wsparciem lotnictwa. Ostatecznie Niemcy okazali się zaporą nie do przejścia. Powstańcy znaleźli się w odwrocie. Tymczasem 7 lipca, około południa, do walki przy-

stąpili czerwonoarmiści, a ciężar walk przeniósł się na lewobrzeżną stronę Wilna.

Początkowo stosunki z „sojuznikami” spod znaku czerwonej gwiazdy układały się na ogół poprawnie, a – jak pisała konspiracyjna prasa – „liniowi dowódcy sowieccy nie szczędzili polskim oddziałom słów uznania”. Jednym z największych wspólnych, polsko-sowieckich, sukcesów w boju było zdobycie silnie bronionego niemieckiego bunkra dowodzenia na ul. Subocz. Ogółem w walkach o Wilno Polacy stracili kilkuset zabitych, rannych i zaginionych.

Gdy 13 lipca całe miasto było już oswobodzone, oddziały AK (zgrupowanie mjr. Mieczysława Potockiego „Węgielnego”), których zadaniem było odcięcie Niemcom drogi ewakuacji, stoczyły z wycofującym się nieprzyjacielem bitwę pod Krawczunami. Polacy wzięli do niewoli blisko 1000 niemieckich żołnierzy oraz przejęli spore zapasy sprzętu wojskowego i amunicji! – *Ta bitwa to była rzeź. Stoczyliśmy walkę z regularną frontową armią niemiecką, z oddziałami z armii gen. Stahela i oddziałami spadochronowymi. To byli wyszkoleni, zaprawieni w walce, frontowi żołnierze. Walkę utrudniał teren – pofalowany, porośnięty tak gęstym lasem, że na parę kroków nie było widać, co jest dalej. A trzeba było się przedzierać. Strzelali z każdej strony. Nie wiedziałas, gdzie Niemcy, gdzie swoi...* – wspominała Janina Wasiljów-Smoleńska z 4. Wileńskiej Brygady AK.

Tego dnia polscy żołnierze opanowali też wileńską Górę Giedymina i zatknęli na niej biało-czerwoną flagę. Sowietci nie pozwolili jednak na taką „samowolę” i zastąpili polskie barwy narodowe czerwonym sztandarem. Taka reakcja nie zapowiadała niczego dobrego – czerwonoarmiści, którzy niedawno ramię w ramię z Polakami zdobywali miasto, teraz dawali do zrozumienia, że nie zamierzają re-



Żołnierze 3. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, okolice Wilna, 1944 r.

FOT. NN, STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ W LONDYNIE

W ciągu kilku dni w ręce Sowietów wpadło 5–6 tys. żołnierzy AK. Aresztowanych przewieziono do Kaługi. Tam bezskutecznie usiłowano wcielić ich do Armii Czerwonej

spektować wcześniejszych umów czy obietnic. Uznanie niedawnych towarzyszy broni z AK za gospodarzy w wyzwolonym właśnie Wilnie, było dla nich nie do przyjęcia.

Innym przejawem prawdziwych intencji Sowietów był komunikat dowództwa Armii Czerwonej informujący o zdobyciu miasta. Zawierał on – czytamy w „Biuletynie Informacyjnym AK” – *tę samą przeciwpolską złośliwość, co i komunikat niemiecki donoszący o oddaniu Wilna: oba komunikaty nazywają Wilno „stolicą Litwy”. Poza tym radiostacje sowiec-*

kie nie nazywają Wilna inaczej jak „Vilnius”! Oczywiście Patrioci Polscy [Związek Patriotów Polskich – red.] w swej radiostacji im. Kościuszki klepią także „Vilnius”. Trudno! Pan każe – sługa musi.

„Szczerość” po sowiecku

Wszystko to zapowiadało tragiczny los polskich oswobodzicieli miasta. Nikt nie zamierzał traktować ich po partnersku. Mało tego, Sowietci po-traktowali Polaków wyjątkowo podejrzliwie, co zresztą... nie powinno dziwić, zważywszy na ich wolnościowe aspiracje.

Choć dowództwo Armii Czerwonej zwodziło sztab AK, kusząc ich propozycjami współpracy, nadzieje na kompromis okazały się złudne. Otrzeźwienie po polskiej stronie przyszło zbyt późno, choć jeszcze w toku walk – 12 lipca – ppłk Krzyżanowski ostrzegł gen. Bora-Komorowskiego: *Oce-niam, że w ostatecznych zamiarach Rosji leży likwidacja naszych oddziałów. Moment przystąpienia do tego oddalają jedynie trudności armii rosyjskiej, związane z niezwykle szybkim marszem naprzód.*

Tymczasem trzy dni później – 15 lipca – a więc już po zdobyciu mia-



O żadnym poszanowaniu wcześniejszych obietnic nie mogło być mowy. Zresztą szef NKWD Ławrentij Beria, prawa ręka Stalina i zbrodniarz bezpośrednio odpowiedzialny za zbrodnię katyńską, 16 lipca tak lekceważąco komentował polski wkład w zdobywanie miasta: *Skierowała się tam rzeczywiście jedna brygada, Niemcy ją doszczętnie rozbili i na tym zakończyło się „zajmowanie” Wilna przez Polaków.* Następnego dnia wszystko stało się jasne: gen. Czerniachowski oświadczył wówczas ppłk. Krzyżanowskiemu, że „żadnej umowy nie będzie”. – *Na polecenie rządu radzieckiego mam panom odebrać broń!* – obwieścił kategorycznie

Jedną z nich była katorżnicza praca w nieludzkich warunkach. Taki dramatyczny los spotkał żołnierzy AK przewiezionych do obozów pod Moskwą i skierowanych do wyrębu lasów. Kilkanaście lat ciężkich, wyniszczających ludzki organizm robót w łagrach, takich jak Archangielsk, Murmańsk czy Workuta, było często równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Równie dramatyczny los spotkał pojmanych oficerów. Po krótkim pobycie w Wilnie, trafili do obozu jeńckiego w Riazaniu, skąd latem 1947 roku – po strajku głodowym – wywieziono ich do obozów w Borowiczach, Czerebowcu i Griazowcu. Na tych, którym udało się wrócić do „czerwonej”, opanowanej przez wojska sowieckie Polski, czekały dalsze represje...

Choć powstanie z lipca 1944 roku zakończyło się klęską, struktura AK na Wileńszczyźnie nie została całkowicie zniszczona. Pod bronią pozostało kilka tysięcy polskich żołnierzy, z których część przedostała się do Puszczy Rudnickiej.

– *Gospodarz nie ucieka od domu, który się pali – ale go gasi (...). Pozostaliśmy na miejscu. Los nasz będzie taki sam, jaki czeka całą Rzeczpospolitą – tak komendant „Wilk” motywował swych żołnierzy przed rozpoczęciem operacji „Ostra Brama”.*

Powstańcy z AK pozostali na miejscu i zdecydowali się podjąć bój o polskość Wilna. Czy można było w takich warunkach uniknąć tragicznych konsekwencji tej decyzji? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Dziś wiemy, że 80 lat temu Stalin, „sojuznik naszych sojuszników”, nie po raz pierwszy i nie ostatni pokazał swą prawdziwą, zbrodniczą twarz. ■

Waldemar Kowalski jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej

FOT. ARCHIWUM



sta, rzekomi sojusznicy obiecywali „Wilkowi” powstanie korpusu (dwie dywizje piechoty i brygada kawalerii), który miałby współdziałać z Armią Czerwoną... rzekomo za zgodą i wiedzą Rządu RP na Uchodźstwie!

Dziś nie ma wątpliwości, że rozmowy z Polakami były dla sowieckiego dowództwa swoistą „grą na czas”. Gdy dowodzący 3. Frontem Białoruskim gen. Iwan Czerniachowski łudził ppłk. Krzyżanowskiego obietnicami dalszej wspólnej walki z Niemcami, do Wilna i w jego okolice napływały już... wojska NKWD w celu przeprowadzenia operacji rozbrojeniowej.

sowiecki dowódca. „Wilk” został zatrzymany, a ten sam los spotkał innych oficerów AK, wezwanych 17 lipca na „odprawę” w Boguszach.

W ciągu zaledwie kilku dni w ręce Sowietów wpadło 5–6 tys. żołnierzy AK. Aresztowanych przewieziono do podwileńskich Miednik Królewskich, a następnie do Kaługi. Tam bezskutecznie usiłowano wcielić ich do Armii Czerwonej (361 pułk piechoty) oraz 1. Armii Wojska Polskiego. Za odmowę służby pod czerwonym sztandarem, a także w „polskim” wojsku pod komendą zdrajcy – gen. Zygmunta Berlinga, groziły najsurowsze kary.

Bitwa o Ankonę

TEKST | Zbigniew Wawer

Jeszcze przed zajęciem Rzymu 22 maja 1944 roku szefowie Sztabów Połączonych zdecydowali skierować do działania na południu Francji siedem dywizji z frontu włoskiego. Mając to na uwadze, dowódca sił alianckich w basenie Morza Śródziemnego generał Henry Wilson postanowił wykorzystać jednostki przed ich przekazaniem do przełamania niemieckiej linii obrony w Apeninach Północnych: linia Rimini – Piza i opanowanie doliny lombardzkiej jeszcze w lipcu 1944 roku.

Plan ten został skrytykowany przez gen. Georga Marshalla, który za pierwszoplanowe zadanie uznał lądowanie w południowej Francji. Poinformował generała Wilsona, że Stany Zjednoczone rezygnują z prowadzenia wszelkich operacji w Europie Południowo-Środkowej. Było to uzgodnione z Sowietami w Tehe-

ranie. Informacja ta zmusiła dowództwo alianckie w rejonie Morza Śródziemnego do zmiany planów letniej ofensywy na froncie włoskim.

26 maja w trakcie odprawy w sztabie 8. Armii padł wniosek wzmocnienia jednostkami polskimi brytyjskiego V Korpusu walczącego nad Adriatykiem. 1 czerwca generał Ha-

rold Alexander, dowódca 15. Grupy Armii zmienił ten plan i zaproponował dowódcy 2. Korpusu złuzowanie brytyjskiego V Korpusu. Generał Anders, mając na uwadze dalsze działania alianckie we Włoszech, wyraził na to zgodę. Była to szansa dla 2. Korpusu na samodzielne działania w walkach na Półwyspie Apenińskim.

8 czerwca na naradzie w sztabie 15. Grupy Armii ustalono plan działań 2. Korpusu: „Zluzować oddziały brytyjskie i Dowództwo V Korpusu na odcinku Adriatyckim; objąć nad nim dowodzenie pod bezpośrednimi rozkazami Dowództwa Frontu Śródziemnomorskiego.

Generał Anders zdecydował, że oddziały 2. Korpusu będą wprowadzane na odcinek w zależności od szybkości reorganizacji i osiągnięcia gotowości bojowej po krwawych walkach w masywie Monte Cassino. Pierwsza do



Generał Kazimierz Sosnkowski wśród żołnierzy 2. Korpusu Polskiego po zajęciu Ankony
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

działań miała wejść 3. Dywizja Strzelców Karpackich, natomiast 5. Kresowa Dywizja Piechoty oraz 2. Brygada Pancerna pozostałyby w odwodzie Korpusu: „do wzmocnienia, wyminięcia lub przekroczenia 3 DSK”.

W związku z szybszym niż planowano natarciem jednostek alianckich na północ od Rzymu, dotychczasowy port w Pescarze nad Adriatykiem stracił na znaczeniu. W tej sytuacji 15. Grupy Armii potrzebne były nowe porty zaopatrywania położone bardziej na północ: Ankona nad Adriatykiem, czy Livorno na Morzem Tyrreńskim. 16 czerwca dowództwo 15. Grupy Armii wydało nowe wytyczne do działań, w których: „2. Polski Korpus ma

ścigać jak najszybciej npl i uchwycić m. Ankonę”.

Zadanie, które otrzymał 2. Korpus było trudne do wykonania z uwagi na to, że jednostki polskie: „nie zdołały jeszcze należycie wypocząć i przeorganizować się tak, ażeby zdolne one były rozpocząć nowe działania przełamujące, a po wtóre dlatego, że mechanizm cały (specjalnie tyłowy) został już puszczony w ruch dla wykonania zadania pierwszego i przestrojenie go teraz na nowy wysiłek wymagał wielkiej straty czasu”.

Generał Anders zdecydował, że oddziały 2 KP będą wprowadzane na odcinek w zależności od szybkości reorganizacji i osiągnięcia gotowości bojowej po walkach w masywie Monte Cassino

Sztab 2. Korpusu zdawał sobie sprawę, że powodzenie natarcia nad Adriatykiem będzie zależało między innymi od odpowiedniej ilości zaopatrzenia w sprzęt saperski – odpowiednia liczba mostów Beyley’a oraz od środków transportowych, którymi oddziały polskie miały być przerzucane z dotychczasowego miejsca postoju na nowy odcinek bojowy.

17 czerwca generał Anders objął dowodzenie nad odcinkiem adriatyckim frontu włoskiego.

Założenia taktyczne

Pięć dni później Oddział Operacyjny Sztabu 2. Korpusu wydał „Wytyczne do działań na Ankonę”. Operacja miała być prowadzona w dwóch fazach: opanowanie miasta i portu w Ankonie

i prowadzenie pościgu za nieprzyjacielem w kierunku linii Gotów.

W dniach 24, 25 i 28 czerwca odbyły się narady gen. Andersa z wyższymi oficerami korpusu. Dowódca 2. Korpusu podkreślił, że główne działanie w bitwie o Ankonę po osi M. della Crescia–Offagna–Chiaravalle przypadnie 5 KDP i 2. Brygadzie Pancernej. W planowaniu Operacji Ankońskiej gen. Anders zastosował napoleoński manewr na skrzydło nieprzyjaciela z położenia środkowego. W trakcie narady w dniu 28 czerwca główną uwagę skupiono na ocenie wartości bojowej nieprzyjaciela. Informacje wywiadowcze przyczyniły się do pewnych korekt planu przyszłej operacji.

1 lipca dowódca 2. Korpusu wydał generałom: Duchowi, Sulikowi i Rakowskiemu ustne rozkazy dot. bitwy o Ankonę. Generał Anders planował, że bitwa o Ankonę zakończy się zdobyciem portu oraz osiągnięciem przez 2. Korpus rzeki Esimo. Po zajęciu Ankony Anders planował, że na północnym odcinku frontu polskiego Korpusu będzie działała 3 DSK, a w południowym 5 KDP, której jedna brygada obsadzi odcinek nad rzeką Esimo, a druga pozostanie w odwodzie.

Tydzień później dowództwo 2. Korpusu wydało Instrukcję Operacyjną Nr 2 do działania na Ankonę, w którym przedstawione zostało położenie oddziałów niemieckich. „Siły przeciwnika walczące z nami zostały w ostatnich walkach silnie wstrząśnięte. 278. Dywizja Piechoty i przydzielone jej oddziały poniosły w walkach od 2 do 8 lipca bardzo ciężkie straty, zarówno w ludziach, jak i w sprzęcie. Sądzę, że przeciwnik mimo strat będzie nadal usiłował stawiać zacięty opór, aby jak najdłużej nie dopuścić do zajęcia portu Ankona, którego znaczenie dla przyszłych działań Armii Sprzymierzonych należy doceniać. W obecnej fazie walki przeciwnik po

przełamaniu obecnych jego pozycji może stawiać jeszcze opór na linii „Edith”. Siły jego po poniesionych dotychczas stratach oceniam na równowartość sześciu osłabionych baonów”.

12 lipca w czasie odprawy wyższych dowódców gen. Anders poinformował zebranych, że z powodu trudności transportowych termin rozpoczęcia ostatecznego natarcia został przesunięty na 16 lipca. Głównym celem, jaki przyświecał dowódcy 2. Korpusu było przełamanie niemieckiej obrony na odcinku M. della Crescia – Croce di S. Vincenzo – S. Stefano.

W ramach operacji „Ancona” za jedną z najważniejszych spraw generał Anders uważał: „utrzymanie npla w przekonaniu, że główne natarcie Korpusu Polskiego pójdzie wzdłuż szosy Nr 16 i rozproszenie jego uwagi od właściwego kierunku natarcia”.

Ustalenia Andersa i Leesa

13 lipca do dowództwa 2. Korpusu przybył dowódca 8. Armii gen. Leese. W trakcie godzinnej rozmowy poinformował gen. Andersa o planach gen. Alexandra dotyczących alianckich działań we Włoszech. W pasie działania 8. Armii z nocy z 14 na 15 lipca jako pierwszy do walki miał wejść brytyjski XIII Korpus. Według gen. Leese natarcie tego Korpusu miało potrwać dwa dni. Natomiast polski 2. Korpus miałby rozpocząć swoje natarcie dopiero w dniu 18 lipca. Dowódca 8. Armii chciałby, aby natarcie polskich jednostek zostało wsparte większością sił lotniczych, jakimi dysponowała Armia. W trakcie spotkania gen. Anders przedstawił plan natarcia Korpusu w operacji ankońskiej zaznaczając, że: „wolałby przyspieszyć natarcie z dwóch względów: a/ oczekiwanie męczy i nuży własne oddziały, które niepotrzebnie ponoszą codzienne straty od ognia artylerii i moździerzy nieprzyjaciela; b/ nieprzyjaciel może uchylić się od uderzenia co byłoby najgorsze – względnie

ma możliwość lepszego przygotowania obrony”.

Według dowódcy 2. Korpusu niemieckie ugrupowanie obronne jest korzystne dla nacierających oddziałów polskich i istniały bardzo duże szanse na rozbicie 278. Dywizji Piechoty przed osiągnięciem przez nią linii „Gotów”. Podstawowym problemem, który utrudniał i opóźniał dzia-

„Wyparcie nieprzyjaciela z dobrze zmontowanych pozycji obronnych w kluczowym punkcie, jakim były S. Paterniano i Monte della Crescia było równocześnie przełamaniem całego systemu obronnego broniącego Ankony. Dalszy pościg był już raczej oczyszczeniem terenu z bezładnie i panicznie uciekających Niemców, masowo wpadających do niewoli, po-



Artylerzyści z 2. Korpusu Polskiego przygotowują stanowisko działa przeciwpancernego
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

łania polskiego Korpusu był brak dostatecznej ilości amunicji. Generał Anders podkreślił, że od dnia 9 lipca 2. Korpus nie otrzymywał zamówionych dostaw. Pierwszy pociąg wiozący amunicję przybył dopiero 13 lipca. Ze względu na brak dostatecznej jej ilości polski Korpus nie był w stanie rozpocząć końcowego natarcia w operacji ankońskiej.

Główne natarcie w bitwie o Ankonę przypadło Zgrupowaniu 5. Wileńska Brygada Piechoty w składzie 13, 14, 15. Batalion, 4. Pułk Pancerny, 3. Batalion Strzelców Karpackich, 5. pułk artylerii lekkiej, III dywizjon 5. Pułku Przeciwpancernego, 4. Kompania Saperów bez plutonu, 1. kompania ckm bez plutonu, 2. kompania ckm, 3. kompania moździerzy 4,2 bez plutonu, pluton Regulacji Ruchu.

zostawiających wszystko na opuszczonych nieoczekiwane stanowiskach. Panika była tym większa, że równoczesne oskrzydlenie Ankony przez czołgów i 6. Lwowska Brygada Piechoty na zachodzie, zamykało jakiegokolwiek drogi odwrotu”.

W czasie, gdy na odcinku 5 KDP rozstrzygały się losy całej operacji ankońskiej, dowódca 2. Korpusu nakazał rozpoczęcie działań pościgowych 3 DSK, która do tego czasu „trzymała swój odcinek biernie”. Pościg 3 DSK był bardzo szybki, gdyż nieprzyjaciel nie stawiał oporu wycofując się w kierunku morza.

18 lipca w czasie akcji Pułku Ułanów Karpackich na Ankonę podczas rozbrajania pola minowego zginął



Czołg ratowniczy, który przewrócił się w czasie pracy na wzgórzu Badia FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Straty 2. Korpusu w operacji ankońskiej wyniosły 388 poległych, w tym 34 oficerów, 1636 rannych, w tym 113 oficerów oraz 126 zaginionych w tym 3 oficerów

ppor. Adolf Bocheński, legendarna postać Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz 2. Korpusu, Kawaler Orderu Virtuti Militari V kl. oraz czterokrotnie Krzyża Walecznych. Podporucznik Bocheński był ekspertem w rozbrajaniu różnego rodzaju min i pułapek. Jeszcze przed bitwą o Monte Cassino uczył żołnierzy tej umiejętności. Tym razem napotkał minę pułapkę nowego typu, której nie znał.

Ankona zdobyta

18 lipca o godz. 14.30 Pułk Ułanów Karpackich wszedł do Ankony. Dowódca ppłk. Zakrzewski zameldował generałowi Andersowi: „po przełamaniu oporu npla w m. Tavernelle

i wzięciu 55 jeńców wkroczyła moja szpica pod dowództwem ppor. Krukowski do m. Ankony. O godz. 14.30 wjechałem do miasta osobiście, witany przez rozentuzjasmowaną ludność cywilną. Cały mój samochód był zasypany kwiatami, kobiety rzucały mi się na szyję, kierowcę całowano po rękach”.

Po kilku minutach bytności w mieście, zarządziłem by dr Borelli objął czasowo funkcję prefekta miasta i by zarządził wywieszenie flag polskich, włoskich i alianckich oraz by podał do wiadomości ludności cywilnej, że miasto zostało zdobyte przez Wojska Polskie, które do ludności włoskiej są jak najprzyjaźniej ustosunkowane”.

W dalszych działaniach 3 DSK oczyszczenie terenu pomiędzy wybrzeżem morskim a rzeką Esino nie przedstawiało żadnego problemu z uwagi na opuszczenie tego obszaru przez oddziały niemieckie, które pozostawiły na dotychczasowych pozycjach tylko oddziały osłonowe.

Dowódca brytyjskiej 8. Armii gen. Leese w liście do gen. Andersa napisał: „objęliście natychmiast odcinek i rozpoczęliście stały ruch naprzód rozgrywając pierwszą akcję nad rzeką

Chienti. Następnie nadeszły dni Waszych wielkich natarć i zdobycie Ankony. Działanie świetnie pomyślane i wykonane w sposób godny podziwu. Wyniki tego działania, a mianowicie przekazanie nam cennego portu Ankony i wzięcie ponad 3000 jeńców, były bardzo brzemienne w skutkach”.

23 lipca przebywający we Włoszech Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski wydał specjalny rozkaz do żołnierzy 2. Korpusu, w którym pisał:

„Żołnierze 2. Korpusu!

Pierwsze dekrety nadające odznaczenia za Waszą Kampanię włoską poświęćmy uczczeniu zasług tych, którzy na polu chwały swe życie za Ojczyznę oddali.

Powiew historii niesie imiona poległych na Polach Italii Żołnierzy Polskich, by przekazać potomności ku podniesieniu serc i pokrzepieniu ducha przyszłych pokoleń, które dźwigną z kolei odpowiedzialność za losy Narodu.

My w naszej rodzinie żołnierskiej ślubujemy poległym Kolegom pamięć najwierniejszą, by cienie ich goryczy osamotnienia nie zaznały. Ich groby na obczyźnie otoczmy braterską opieką. Gdy wojska nasze staną na Ziemi Ojczystej, przewieziemy drogie prochy do Polski, z imieniem której na ustach umierali żołnierze z pod M. Cassino, Piedimonte, Loretto, Castel Fidardo, Ossimo i Ancona”.

Straty 2. Korpusu w operacji ankońskiej (czerwiec-lipiec 1944 roku) wyniosły 388 poległych, w tym 34 oficerów, 1636 rannych, w tym 113 oficerów oraz 126 zaginionych w tym 3 oficerów.

Bitwa o Ankonę była jedyną samodzielną operacją Polskich Sił Zbrojnych na froncie zachodnim w II wojnie światowej. ■

prof. Zbigniew Wawer, Kombatant nr 7-8, 2019

O tym, co się stało na Wołyniu nie zapomnę nigdy

FOT. MACIEJ KACZANOWSKI/REPORTER

TEKST | Katarzyna Krzykowska

Czas leczy rany, ale o tym, co się stało na Wołyniu nie zapomnę nigdy – opowiada ocalona z Wołynia blisko 85-letnia Marianna Sikora-Zawiślak. Ukraińcy zabili jej ojca, a brata wydali Niemcom. Miała tylko cztery lata, ale pamięta utratę ukochanej lalki i usłyszane wówczas słowa: „Won, przekłeta Laszko, bo ciebie zabiję!”.

11 i 12 lipca 1943 roku ukraińska Armia Powstańcza dokonała skoordynowanego ataku na polskich mieszkańców ok. 150 miejscowości na Wołyniu. W sumie w latach 1943–1945 na Wołyniu i w Galicji Wschodniej zginęło ok. 100 tys. Polaków, zamordowanych przez oddziały UPA i miejscową ludność ukraińską. Wydarzenia te przeszły do historii jako Zbrodnia Wołyńska.

Marianna Sikora-Zawiślak (z domu Plejznerowska) urodziła się 12 września 1939 roku w Mokwinie (powiat kostopolski). Kiedy rozpoczęła się rzeź wołyńska miała zaledwie cztery lata. – Mokwin to była niewielka wieś, można powiedzieć, że osada, mieliśmy kościółek drewniany z polskim księdzem. Mieszkaliśmy w domu częściowo

murowanym, miał dwie izby, pamiętam sporą kuchnię – opisuje.

Była jedną z najmłodszych z rodziny. Najpierw na świat przyszedł Stanisław, później Tytus Romuald, Halina i Jan. Piąta jest Marianna, po niej rodzi się jeszcze Leonarda.

Sikora-Zawiślak wspomina, że nic nie wskazywało na to, że może dojść do masakry. Ludzie żyli obok siebie w zgodzie, spędzali ze sobą czas, bawili się razem i przyjaźnili. – Moja siostra miała koleżanki Ukrainki, z jedną siedziała nawet w ławce szkolnej, bracia tak samo mieli kolegów Ukraińców. Trzymali się razem. Nikt się nie spodziewał, że oni staną się bandytami i będą nas zabijać – mówi.

Kiedy zaczęły się regularne napaści na Polaków dostawali ostrzeżenia od sąsiadów, także Ukraińców. – Mój oj-

ciec przychodził do domu i mówił, że dzisiaj mogą być u nas banderowcy. Zarządzał ucieczką do lasu. Wtedy wszyscy uciekaliśmy, w lesie się rozdzielaliśmy, żeby nie było dużych grup. Ukraińcy, którzy ostrzegali Polaków tak samo się bali, żeby ktoś ich nie wydał, że sprzyjają Lachom.

– Podczas jednej z ucieczek do lasu ja i Halinka, zabłądziłyśmy. Przez dziesięć dni chodziłyśmy od domu do domu, po lasach. Trafiałyśmy na różnych ludzi niektórzy nas wyganiaли, ale zdarzali się też dobrzy Ukraińcy, pomocni. Jedna Ukrainka przyjęła nas, dała nam jeść. Siostrę przebrała za jedną z nich. Ukrainki ubierały się inaczej, niż my. Pytała, czy moja siostra potrafi się modlić po ukraińsku, ponieważ banderowcy, jak zaczepiali ludzi to kazali się modlić. Kiedy szły-

śmy przez las natknęliśmy się na grupę Ukraińców. Pierwsza ich reakcja była taka, że jesteśmy Polkami, ale moja siostra zaczęła się modlić po ukraińsku. Wydawało się, że jesteśmy uratowane, ale mnie się strasznie chciało jeść. Zaczęłam prosić o jedzenie, ale po polsku. Ukraińcy, jak to usłyszeli zaczęli krzyczeć, że my Laszki. Ale na szczęście był tam kolega ze szkoły mojej siostry i on nas wybrocił, że my Ukrainki. I darowali nam życie. Puścili nas wolno do domu – opowiada.

– Pamiętam też inną historię. W trakcie chowania się w lesie dwójka mojego rodzeństwa trafiła do domu Ukrainki. Byli zadowoleni, że ona ich przyjęła. Ostrzegła ich także, że za chwilę na podwórku będą banderowcy i poradziła, żeby ukryli się w stodole. Poszli do stodoły i rzeczywiście przyjechała za chwilę banda. Patrząc przez szpary w drzwiach, a ta Ukrainka pokazuje palcem na stodołę, zdradzając miejsce ukrycia mojego rodzeństwa. Dobrze, że z drugiej strony stodoły była wyjęta deska i dzięki temu wydostali się z niej. Polecieli w żyto, a Ukraińcy do nich strzelali – wspomina Wołynianka.

11 lipca 1943 roku, w tzw. krwawą niedzielę, która była kulminacją trwającej już od początku 1943 roku fali zbrodni na ludności polskiej Wołynia, UPA dokonała skoordynowanego ataku na polskich mieszkańców na Wołyniu. – Tego dnia Halinka i Janek uczestniczyli we mszy św. w kościele w Mokwinie. Wrócili roztrzęsieni. Mieli poplamione krwią ubranie. Okazało się, że banderowcy napadli na świątynię. Rozrzucili komunię świętą, księdzu poderżnęli gardło i czekali na Polaków wychodzących z kościoła. Siostra opisując co się działo, płakała. Brat ze strachu przez kilka godzin krył się w krzakach. Ukraińcy stali pod kościołem i kogo dosięgnęli to atakowali – nożem, widłami. Okaleczyli wielu ludzi. Moje rodzeństwo prze-

żyło. Zrobili to młodzi banderowcy – wspomina.

Uzdolniony plastycznie brat Marianny – Tytus Romuald – został wydany Niemcom przez ukraińskich kolegów. Malował plakaty, które potem rozwieszano podczas akcji. Wspomina, że przychodzili do niego ukraińscy koledzy, razem słuchali radia, a potem go zdradzili. – Niemcy go okropnie zbili, był siny jak śliwka, ale nie wydał kolegów. Moja mamusia powiedziała do niego: Synu, czego nie powiedzia-

(...) banderowcy napadli na świątynię. Rozrzucili komunię świętą, księdzu poderżnęli gardło i czekali na Polaków wychodzących z kościoła. Siostra opisując co się działo, płakała

łeś kto z tobą był? Może by nie zbili ciebie tak mocno. Mój brat odpowiedział: Nie mamusiu, ja bym zginął i oni by zginęli, a musi ktoś zostać, żeby powiedział, co się działo na Wołyniu. Muszą zostać Polacy. Nie mogłem nikogo wydać! – opowiada Sikora-Zawiślak, cytując słowa brata.

Po jego śmierci pomocną dłoń wyciągnęła do nich sąsiadka, Ukrainka.

– By dostać się na cmentarz, który był położony już pod Kostopolem, trzeba było przejechać przez las. Po lesie zawsze chodzili banderowcy, więc nie daliby mamie pochować syna, jakby zobaczyli, że jest Polką. Sąsiadka pożyczyła nam nie tylko wóz, ale też wystąpiła z moją mamą swojego syna. Powóz był niewielki, mieściła się w nim tylko trumna, na niej siedział ten chłopak, on powoził i moja mama,

Sprawcami Zbrodni Wołyńskiej byli członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – frakcji Stepana Bandery, podporządkowana jej Ukraińska Powstańcza Armia oraz ludność ukraińska uczestnicząca w mordach swoich polskich sąsiadów. OUN-UPA nazywała swoje działania „antypolską akcją”. To określenie ukrywało zamiar, jakim było wymordowanie i wypędzenie Polaków. Polacy byli mordowani z niebywałym okrucieństwem, paleni żywcem, wrzucani do studni, używano siekier i wideł, wymyślnie torturowano ofiary przed śmiercią, gwałcono kobiety.

Określenie Zbrodni Wołyńska dotyczy nie tylko masowych mordów dokonanych na terenach Wołynia, czyli byłego województwa wołyńskiego, ale także w byłych województwach: lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim (Galicja Wschodnia), a także województwach lubelskim i poleskim.

Określenie Zbrodni Wołyńska dotyczy nie tylko masowych mordów dokonanych na terenach Wołynia, czyli byłego województwa wołyńskiego, ale także w byłych województwach: lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim (Galicja Wschodnia), a także województwach lubelskim i poleskim.

Massowe mordy na ludności polskiej na terenach Galicji Wschodniej rozpoczęły się jesienią 1943 roku.

Według szacunków polskich historyków ukraińscy nacjonaści zamordowali około 100 tys. Polaków. 40–60 tys. zginęło na Wołyniu, 20–40 tys. w Galicji Wschodniej, co najmniej 4 tys. na terenie dzisiejszej Polski. Terror UPA spowodował, że setki tysięcy Polaków opuściły swoje domy, uciekając do centralnej Polski. Zbrodnia Wołyńska spowodowała polski odwet, w wyniku którego zginęło ok. 10–12 tys. Ukraińców, w tym 3–5 tys. na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Zdaniem historyka prof. Grzegorza Motyki „choć akcja antypolska była czystką etniczną, to jednocześnie spełnia ona definicję ludobójstwa”. Celem było bowiem zniszczenie na Wołyniu w całości, a na innych terenach w części, polskiej grupy etnicznej.

która miała udawać niemowę. (...) W ten sposób udało się pochować mojego brata. Inaczej nie byłoby to możliwe – podkreśla.

Ukraińcy zabili jej ojca. – W marcu 1945 roku umówił się na spotkanie ze znajomym młynarzem z sąsiedniej wsi. Do tej pory pamiętam jego imię i nazwisko – Andryj Kizzman. Tata handlował z nim, przekazywał naftę, a on nam dawał mąkę. To był czas wojny, nie było pieniędzy, więc płaciło się produktami. Mój ojciec udał się do niego i już nie wrócił. Po kilku dniach zaczęliśmy go szukać, ale bezskutecznie. Dopiero po jakimś czasie jedna z Ukrainek, z satysfakcją opowiedziała mojej siostrze jak zginął tata: przywiązali go do skrzydła wiatraka, podłożyli kamień, puścili wiatrak i tata uderzał głową w ten kamień – wspomina. – Czynili to po to, żeby tych Polaków umęczyć jeszcze – dodaje Sikora-Zawiślak.

– Mamusia chodziła później do tej wsi, chciała się czegoś dowiedzieć.



Według szacunków polskich historyków 40–60 tys. Polaków zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich zginęło na Wołyniu, 20–40 tys. w Galicji Wschodniej, co najmniej 4 tys. na terenie dzisiejszej Polski; na zdjęciu ofiary mordu w Maciejowie, luty 1944 r.

FOT. MACIEJ KACZANOWSKI/REPORTER

Znajomy Polak powiedział mojej siostrze, żeby mama więcej tam nie przychodziła, bo „jak zginął nasz ojciec, to zginie i matka”. Będziemy sierotami –

relacjonowała. Już po ewakuacji ludności polskiej i przesiedleniu do Nidzicy, codziennie po szkole wypatrywała ojca. – Cały czas czekałam na niego. Myślałam, że udało mu się uciec i do nas wróci. Wychodząc ze szkoły widziałam ludzi wracających z dworca, kiedy mężczyzna szedł, to już myślałam, że to tatuś – przyznaje.

W rozmowach wspomina także grabieże, których dokonywali Ukraińcy. – Wpadali do chatupy i mówili: „to jest nasze” i zabierali różne przedmio-

Po tylu latach nie pamiętałam tego miejsca. Wymazałam te wydarzenia z pamięci. Patrzyłam na to wszystko, jakbym była tam pierwszy raz w życiu

ty. Moja mamusia nie chciała oddać patelni, dostała za to kolbę od pistoletu. Ja z kolei zauważyłam, że ukraińska dziewczynka siedząca na furman-

ce trzyma moją ukochaną, piękną lalkę, którą dostałam od tatusia. Zaczęłam biec w jej kierunku, płakałam, chciałam, żeby mi ją oddała. Ukraińiec, który z nią był powiedział do mnie: „Won, przekłeta Laszko, bo ciebie zabije!” Lalka pojechała – opowiada.

Dla małego dziecka odebranie ukochanej lalki było tak silnym przeżyciem, że sentyment do tej zabawki towarzyszył jej przez całe życie. Po wojnie, kiedy było już to możliwe, wróciła ze swoją siostrą Halinką na Wołyń, do Mokwina: Opowiadała mi, gdzie stał nasz dom, byliśmy w miejscu, gdzie był kościół, który spalili banderowcy. Cmentarz został zaorany i nie ma po nim śladu. Rośnie tam trawa. Ukraińcy zrobili wszystko, żeby wymazać obecność Polaków na Wołyniu.

Przyznaje, że w trakcie wizyty nie odczuwała tego, co powinna. – Po tylu latach nie pamiętałam tego miejsca. Wymazałam te wydarzenia z pamięci. Patrzyłam na to wszystko, jakbym była tam pierwszy raz w życiu. Byłam zdziwiona sytuacją. Siostra mówi do mnie: nie pamiętasz tu mieszkaliśmy, tu była poczta. W środku budynku były ślady kul, jakby ktoś puścił serię z karabinu maszynowego, Ukraińcy nawet ich nie zakryli – wspomina.

Bardziej przeżywała wszystko po seansie filmu „Wołyń” w reż. Wojciecha Smarzowskiego. – Wspomnienia wróciły. Przypomniałam sobie, jak błędziłam z siostrą przed dziesięć dni po lesie, jak chodziłyśmy od domu do domu – opowiada.

Podkreśla też, że cały czas ma w sercu żal za to, co wydarzyło się na Wołyniu. – Jestem osobą wierzącą, wiem, że powinnam wybaczyć i bym przebaczyła, gdyby żył mój ojciec i brat – zaznacza. – Nikt się nami, Wołyniakami, nie interesował, nikt nam nie pomógł po tych wszystkich przejściach – powiedziała Marianna Sikora-Zawiślak. ■



TEKST | Jakub Żak

W cywilnym ubraniu...

– przygotowanie żołnierzy
2. Korpusu Polskiego
do demobilizacji w Wielkiej Brytanii

Musimy przetrwać. Na pewno każdy z nas chce wrócić do Polski, ucałować polską ziemię, ale ziemię wolną, która by nie była deptana butem obcego żołnierza i gdzie ludzie, każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko, mogliby żyć bez strachu. A ponieważ dziś jeszcze tego uczynić nie możemy – powinniśmy się wziąć do pracy.

Gen. dyw. Władysław Anders

Demobilizacja, ale nie od razu...

Pokonanie III Rzeszy i zakończenie II wojny światowej na europejskim teatrze działań wojennych były powodami do ulgi i świętowania dla wszystkich żołnierzy alianckich, mających wkład w ostateczne zwycięstwo. W przypadku żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (PSZ) początkowa, zrozumiała przecież, euforia szybko zastąpiona została pytaniem „co dalej?” – wszak cel militarny został spełniony, ale cel polityczny nie.

W Ojczyźnie jeden okupant zastąpił drugiego, a wizja triumfalnego wkroczenia do Polski w roli zwycięzców i defilady w Warszawie nikła z dnia na dzień. W 2. Korpusie Polskim, największym związku taktycznym PSZ, dowodzonym przez charyzmatycznego gen. Władysława Andersa, pytania o przyszłość zadawali sobie przede wszystkim kresowiaci, którzy decyzjami politycznymi Wielkiej Trójki pozbawieni zostali swoich małych ojczyzn.

Naturalnym następstwem wygranej wojny jest demobilizacja żołnierzy i przejście wojska w stan pokojowy. Oczywiście nie dzieje się to z dnia na dzień – w przypadku aliantów zachodnich proces demobilizacji był żmudny i dostosowany do potrzeb militarnych (np. zadań okupacyjnych w podbitych Niemczech czy Włoszech) oraz politycznych i cywilnych. W pierwszych powojennych tygodniach część żołnierzy brytyjskich powróciła na Wyspy w glorii zwycięzców, inni żołnierze Commonwealthu płynęli do swoich krajów, wolni Francuzi zajęli się odbudową Francji, a Amerykanie przygotowywali się do potencjalnego przetrzutu na obszar Pacyfiku, gdzie

nadal trwały jeszcze zawzięte walki Cesarstwem Japońskim.

W większości wypadków szeregi oddziałów alianckich topniały, z jednym wyjątkiem – Wojsko Polskie rekrutowało nowych żołnierzy, uzupełniało straty w jednostkach liniowych, a nawet tworzyło nowe oddziały i pododdziały. Prym w tym procederze wiodł 2. Korpus Polski, który do sierpnia 1945 roku nie tylko w pełni uzupełnił straty z kampanii włoskiej, ale osiągnął rekordowe stany osobowe, przekraczające 113 tys. żołnierzy. Inne jednostki PSZ również aktywnie po-

Obecność 2. Korpusu Polskiego na Półwyspie Apenińskim była przy tym solą w oku władz w Warszawie i w Moskwie, utrudniając i tak już skomplikowane stosunki brytyjsko-polskie czy brytyjsko-radzieckie

zyskiwały rekrutów, osiągając łącznie niemal ćwierć miliona żołnierzy wszystkich rodzajów broni.

Z jednej strony duża liczba aktywnych żołnierzy polskich stacjonujących we Włoszech oraz na terenie zachodnich stref okupacyjnych Niemiec pozwalała na szybszą demobilizację żołnierzy brytyjskich i amerykańskich (Polacy przejmowali ich zadania okupacyjne), z drugiej jednak koszty utrzy-

mania PSZ ciążyły w dużej mierze na brytyjskich podatnikach, a Wielka Brytania zaczynała wchodzić w powojenny kryzys ekonomiczny.

Obecność 2. Korpusu Polskiego na Półwyspie Apenińskim była przy tym solą w oku władz w Warszawie i w Moskwie, utrudniając i tak już skomplikowane stosunki brytyjsko-polskie (warszawskie) czy brytyjsko-radzieckie. Oczekiwany przez dowództwo PSZ i część polskich polityków nowy konflikt – tym razem ze Związkiem Radzieckim – i zbrojne odbicie ziem polskich oddalały się, za to coraz wy-



rażniej rysowała się konieczność kolejnej emigracji, głównie do krajów Wspólnoty Brytyjskiej. Potwierdzały ją decyzje rządu brytyjskiego, a także władz w Polsce. Dochodził do tego jeszcze jeden ważny, być może najważniejszy aspekt – zabezpieczenie przyszłości polskich żołnierzy. Należało więc pomyśleć o demobilizacji żoł-

nierzy PSZ na obczyźnie i przejściu ze służby wojskowej do życia cywilnego.

Potrzeby szkoleniowe

Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, zwłaszcza wojska lądowe, stanowiły



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Żołnierze 2. Warszawskiej Dywizji Pancерnej idą z bagażami do portu w Leith

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

swoisty konglomerat jednostek – różnych od siebie miejscem formowania i stacjonowania, szlakiem bojowym i składem osobowym. Po zakończeniu wojny oddziały I Korpusu Polskiego znajdowały się na terenie Wielkiej Bry-

tanii (jednostki drugorzutowe) i w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec (1. Dywizja Pancerna i 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa), a we Włoszech stacjonował 2. Korpus Polski.

W przypadku konieczności pozostania na emigracji w Wielkiej Brytanii (...), podstawową umiejętnością, niezbędną do sprawnego przejścia do życia cywilnego, było władanie językiem angielskim

Wszyscy żołnierze tych oddziałów ostatecznie musieli ulec demobilizacji, ale sprawność tego procesu i ułożenia sobie przyszłego życia cywilnego na obczyźnie mocno się między sobą różniły. W przypadku konieczności pozostania na emigracji w Wielkiej Brytanii lub w krajach Wspólnoty Brytyjskiej, podstawową umiejętnością, niezbędną do sprawnego przejścia do życia cywilnego, było władanie językiem angielskim. Dodatkowym atutem było obeznanie z brytyjskimi zwyczajami i obyczajami, a także znajomość tamtejszego rynku pracy czy wyrobione stosunki z Brytyjczykami. Pozytywnym aspektem tej sytuacji były również małżeństwa polsko-brytyjskie. Bez względu na przewagę we wszystkich tych aspektach, zwłaszcza umiejętnościach językowych, mieli żołnierze I Korpusu Polskiego, którzy od dawna przebywali na Wyspach Brytyjskich.

Sytuacja wyglądała zgoła inaczej w 2. Korpusie Polskim. Znajomość języka angielskiego, tak ważnego

w kontekście potencjalnej emigracji do krajów Wspólnoty Brytyjskiej, była na niskim poziomie. Najlepiej język opanowali „faraonowie” (żołnierze wywodzący się z 1. Brygady Strzelców Karpackich) oraz „lordowie” (ci, którzy przeszli brytyjskie szkolenia i kursy specjalistyczne), najgorzej zaś „prawosławni” (przybyli z gen. Andersem ze Związku Radzieckiego). Możliwości nadrobienia tych braków były mocno ograniczone – pod koniec 1945 roku na terenie korpusu i bazy korpusu pozostawało jedynie sześciu brytyjskich nauczycieli języka angielskiego. Te niedobory starano się uzupełnić własnymi siłami, szkoląc w kolejnych miesiącach ponad 40 własnych nauczycieli języka angielskiego, niemniej nadal była to kropla w morzu potrzeb.

Tym bardziej że nauka języka niejednokrotnie była wyzwaniem. – *Uczymy się angielskiego i jakoś nie możemy go opanować, to nie jest melodyjny włoski, którego dość szybko nauczyliśmy się. Tu inaczej się pisze, a inaczej mówi. Mówią, że pisze się butter, czyta bater, a je się margarynę i jak tu można dojść do ładu?* – opowiadał z humorem jeden z polskich żołnierzy. Większość z nich, poza nielicznymi „lordami”, nie była też na Wyspach Brytyjskich i nie знаła tamtejszych realiów i obyczajów.

Dodatkowo ten największy polski związek taktyczny na Zachodzie wykazywał się bodaj najwyższym w PSZ poziomem antysowieckości. Oczywiście wynikał on w głównej mierze z doświadczeń, jakie spotkały tych żołnierzy generała Andersa, których wojenna droga do Włoch wiodła przez „nieludzką ziemię”, a podtrzymywany był przez twarde stanowisko kadry oficerskiej i wiarę w wybuch III wojny światowej. Dlatego też główny nacisk stawiano nie na zdobycie cywilnego fachu, a na podnoszenie sprawności bojowej żołnierzy, ćwiczenia i manewry wojskowe, naukę rozpoznawania

sowieckiego sprzętu czy przyswojenie sowieckiej taktyki. Brak zaufania w głoszony przez dowództwo korpusu przyszły konflikt Zachodu ze Związkiem Radzieckim, będący szansą na odzyskanie kraju, traktowany był jako sianie defetyzmu, a czasem wręcz działalność antypolską.

Widoczne jednak było rozprężenie w szeregach żołnierzy, spowodowane oddalającym się konfliktem. Oficer sztabu korpusu, kpt. Włodzimierz Drzewieniecki, pod koniec 1945 roku przedstawił raport dotyczący morale wojska, w którym pisał: *Mówiło się żołnierzowi, że może do konfliktu dojść w ciągu zimy lub wczesną wiosną (podawano z podkreśleniem fakt malowania przez Sowiety masowo czołgów na kolor biały [...]). W tym kierunku poszły zresztą wytyczne wyszkoleniowe korpusu na okres zimowy 1945/46. Żołnierz i młodszy dowódca wzięli sobie to częściowo do serca i czekają. Co powie żołnierz, gdy do wiosny do tego konfliktu nie dojdzie?*

Oficer ten szedł dalej w swoich propozycjach przedstawionych dowództwu – sugerował, aby przenieść nacisk ze szkolenia wojskowego na szkolenie ogólne i zawodowe, postulując, aby stosunek zajęć cywilnych do wojskowych stanowił 5:1, niezwykle celnie to argumentując: *żołnierze (...) będą mieli świadomość, że ich dowódcy myśleli o nich i przygotowywali ich na wypadek pozostawania przez jakiś, bliżej nieokreślony okres czasu, na emigracji, co będzie wielkim kapitałem zaufania w momencie gdy będziemy się formować do nowej walki zbrojnej.* Chociaż kpt. Drzewieniecki nie otrzymał oficjalnej odpowiedzi na swoje pismo, wydaje się, że dowództwo Korpusu zdawało sobie sprawę ze skali problemu, bowiem na przełomie 1945/1946 roku umożliwiło części żołnierzy podjęcie nauki w szkołach zawodowych i ogólnokształcących. Popyt na kursy i szkolenia zdecydowanie przewyższał jednak podaż.

Analiza morale i dyscypliny wojska, przeprowadzona w oddziałach w styczniu 1946 roku, wykazała różne podejście dowódców do tematyki szkolenia zawodowego. Z jednej strony potwierdzano chęć żołnierzy do nauki i kursów zawodowych, z drugiej zaś pojawiały się głosy mówiące, że „z doksztalcaniem cywilnym trzeba być ostrożnym, bo po przeszkoleniu mogą być tendencje ku powrotowi, przy tym trwa ono długo i kosztem pełniących służbę”. Fach w rękę faktycznie mógł być zapalnikiem do opuszczenia szeregów wojska, jak chociażby w przypadku żołnierzy Służby Warsztatowo-Naprawczej, dla których życie cywilne było zdecydowanie ciekawsze i bez problemu mogli sobie zapewnić utrzymanie poza wojskiem.

Wierząc w wybuch III wojny światowej i nastawiając się na szkolenie wojskowe dowództwo Korpusu wyrządzało żołnierzom krzywdę, zwłaszcza w obliczu zbliżających się decyzji o przetransportowaniu 2. Korpusu Polskiego na Wyspy Brytyjskie i potencjalnej demobilizacji. Nie wiemy jednak jakimi informacjami dysponowało dowództwo, na jakich danych opierało swoje decyzje, trudno więc jednoznacznie winić gen. Andersa czy innych dowódców za podjęte działania.

Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia

Strona brytyjska, mimo różnych nacisków z Moskwy i Warszawy, starała się wyjść z twarzą z problemu, jaki stwarzało dla niej utrzymywanie Polskich Sił Zbrojnych, i znaleźć rozwiązanie pozwalające pomóc byłym towarzyszom broni. Tym rozwiązaniem stał się powstały w połowie 1946 roku Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR). Jak wynikało z broszury dostarczonej każdemu żołnierzowi polskiemu tworzy się go, aby dopomóc oficerom i szeregowym Polskich Sił Zbrojnych przysposobić się

do życia cywilnego. – *Armia Brytyjska pragnie usilnie uczynić wszystko co jest w jej mocy ażeby przyjąć z pomocą polskim towarzyszom broni, którzy podczas wojny służyli wspólnej sprawie. Tym spośród Was, którzy nie wstąpią do PKPR, Armia Brytyjska nie będzie mogła pomóc* – napisano.

Korpus wchodził w skład Armii Brytyjskiej, a służbę w nim przewidziano na dwa lata – w przekonaniu Brytyjczyków był to czas w zupełności wystarczający na doszkolenie się



Pożegnanie zdemobilizowanych żołnierzy 2. Warszawskiej Dywizji Panczernej w porcie Leith
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

w zawodach cywilnych i zdobycie pracy na terenie Wielkiej Brytanii. Nie było to zresztą jedyne wyjście, polscy żołnierze mogli bowiem w tym czasie zdecydować się na powrót do Polski bądź na emigrację do innych krajów (z pełnym wsparciem rządu brytyjskiego), nielicznym umożliwiono także służbę zawodową w British Army. Żołnierze otrzymywali żołd i dodatki (zwłaszcza ci, mający rodziny na utrzymaniu) przewyższające często średnie stawki płac na rynku cywilnym – nie bez kozery więc skrót PKPR rozwijano czasem jako „Póki Król Płaci Regularnie”.

Władze wojskowe PSZ widziały zalety narzuconego przez Brytyjczyków rozwiązania: po pierwsze utworzenie PKPR pozwalało na przetrwanie żołnierzy polskich w zwartych szeregach (gdyby upragniona wojna z ZSRR miała jednak wybuchnąć), po drugie pozwalało na przygotowanie żołnierzy do życia cywilnego poprzez plan szkolenia zawodowego, a następnie na rozmieszczenie w różnych gałęziach gospodarki brytyjskiej i zapewnienie względnie godziwych warunków

Wierząc w wybuch III wojny światowej i nastawiając się na szkolenie wojskowe dowództwo wyrządzało żołnierzom krzywdę, zwłaszcza w obliczu potencjalnej demobilizacji

życia, po trzecie zaś odpowiadało potrzebom społecznym wojska, umożliwiono bowiem akcję łączenia rodzin, a polscy inwalidzi wojenni otrzymali pomoc na równi z brytyjskimi kolegami.

Jesienią 1946 roku gen. Olivier Leese, były dowódca brytyjskiej 8. Armii, w której skład w czasie wojny wchodził 2. Korpus Polski, wizytował polskie jednostki w PKPR. Wygłosił tam płomienne przemówienie: *Jest dla mnie wielkim zaszczytem przyjęcie defilady pierwszych szeregów Korpusu Rozmieszczenia i Przystosobienia. (...) Wierzę, że dla każdego z Was przyjdą dobre dni, że się osiedlicie budując swoją przyszłość. Musicie się najpierw nauczyć języka tego kraju, w którym chcecie się osiedlić. Jeśli przed wojną nie mieliście żadnego zajęcia powinniście przed opuszczeniem Korpusu Przystosobienia uczęszczać na jeden z tych doskonałych kursów, które są dla Was urządzone w Anglii i nauczyć się handlu lub rzemiosła.*

Tyle że piękne słowa to jedno, a rzeczywistość to drugie. Szkolenie zawodowe członków PKPR leżało w gestii brytyjskiego Ministerstwa Pracy i podległych mu departamentów. Szczytne cele zderzyły się z toporną machiną brytyjskiej biurokracji i mimo wielokrotnych monitów ze strony polskiej, decyzje w tej kwestii miały zapaść dopiero na początku 1947 roku, a kursy rozpocząć się na wiosnę. Nie czekając na rozwój wydarzeń w ramach oddziałów podjęto oddolne inicjatywy, uruchamiając własne kursy zawodowe, szkolenia, zakładając warsztaty rzemieślnicze itp.

Polska prasa emigracyjna co rusz donosiła o pomysłowości i zaradności polskich żołnierzy: *Zanim jeszcze padły jakiegokolwiek słowa o potrzebie szkolenia fachowców w ramach PKPR, 11-y batalion 5. Dywizji Piechoty nie tylko zawczasu o tym pomyślał, ale stał się w ogóle jedynym batalionem, gdzie szkolenie trwa od kilku miesięcy*



Mała Włoszka uczy żołnierzy języka włoskiego FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Ewakuacja do Wielkiej Brytanii żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, wrzesień 1946 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

cy bez oglądania się na natchnienia z góry. (...) Wchodzimy do baraku, gdzie mieszczą się razem ślusarnia i kuźnia. Kuźnia jest mała, wygląda jak zabawka. Snuje się z niej błękitnawy dymek. Kuźnię i wszystkie narzędzia zmajstrowali sami uczniowie, zaczynano bowiem od kowadła i jednego młotka. Dziś narzędzi jest już dużo, 95% uczniów nie miało nigdy do czynienia z metalem – dziś są to prawdziwi fachowcy. Należy podkreślić, że w odróżnieniu od okresu włoskiego, dowódcy oddziałów w ramach PKPR przykładali ogromną wagę do przygotowania swoich żołnierzy do życia cywilnego. Organizacja szkoleń napotykała na wiele przeszkód, jak chociażby braki w materiałach rzemieślniczych czy narzędziach, jednak starano się uzupełnić te niedobory, czy to sprzedając wytworzone produkty na lokalnym rynku, czy też korzystając z ofiarności żołnierzy, którzy z własnego żołądu fundowali niezbędne utensylia.

Kursy organizowane przy wsparciu władz brytyjskich faktycznie ruszyły wiosną 1947 roku, co wpłynęło na przyspieszenie zaciągu żołnierzy do tej formacji – pod koniec kwietnia służyło w niej ponad 80 tys. żołnierzy PSZ, a do końca roku liczba ta przekroczyła 114 tys. Zatrudnienie w różnych sektorach brytyjskiej gospodarki było często utrudniane przez brytyjskie związki zawodowe, upatrujące

Zatrudnienie w różnych sektorach brytyjskiej gospodarki było często utrudniane przez związki zawodowe, upatrujące w Polakach dużą konkurencję na rynku pracy

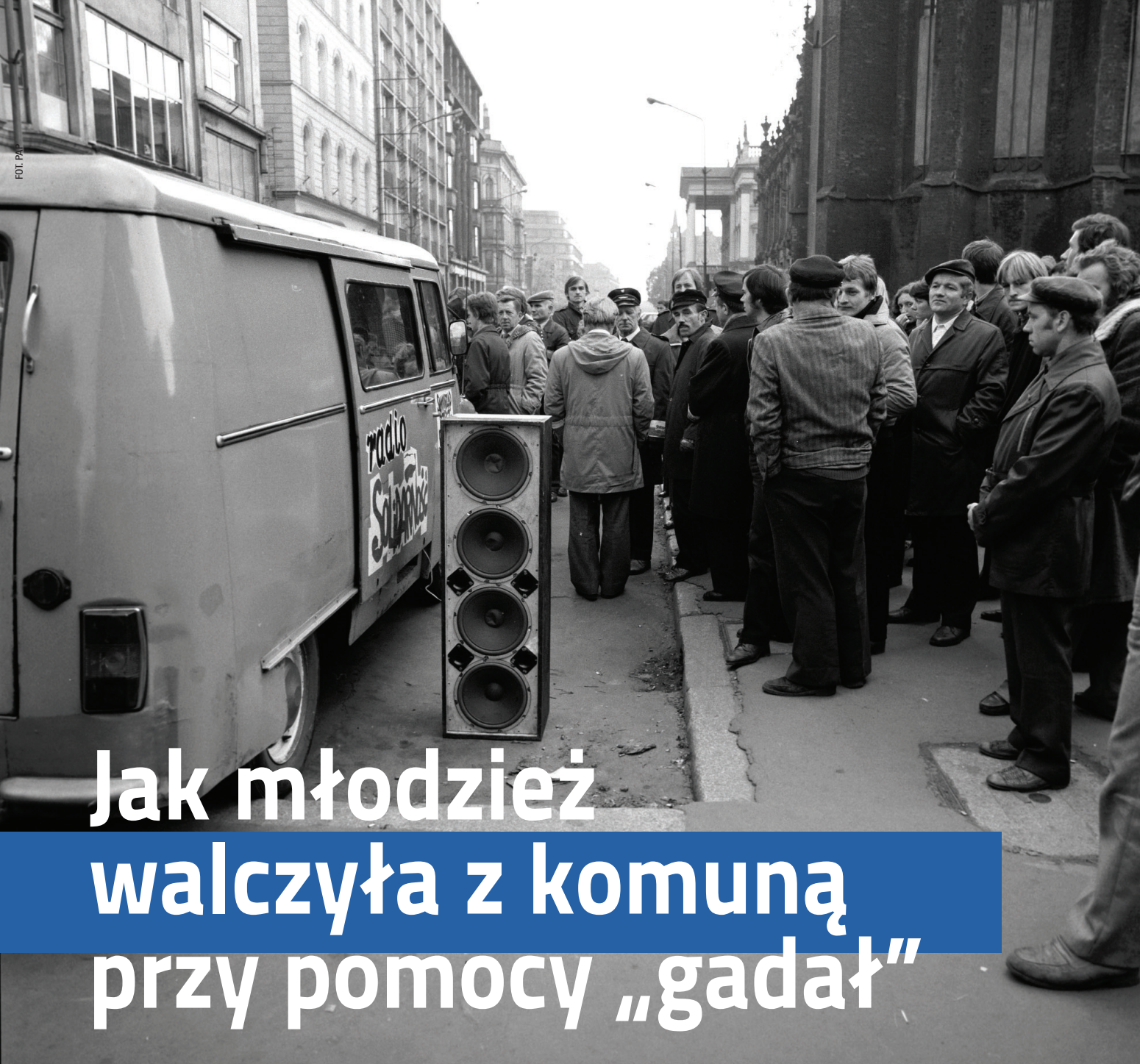
w Polakach dużą konkurencję na rynku pracy, niemniej przebiegało zadowalająco. Średnie tempo zatrudnienia żołnierzy PSZ w zawodach cywilnych wynosiło w sierpniu 1947 roku 291, we wrześniu 225, a w pierwszej dekadzie października 180 osób dziennie. Polscy żołnierze znajdowali zatrudnienie w budownictwie i przemyśle budowlanym (22%), rolnictwie, leśnictwie i ogrodnictwie (15%), górnictwie (14%), włókiennictwie i tkactwie (5,5%), hutnictwie i metalurgii (5%) czy rzemiośle (5%). Do końca 1947 roku 66 tys. żołnierzy podjęło pracę fizyczną, niemal 20 tys. pracę umysłową, a ponad 28 tys. przebywało na kursach zawodowych.

Proces demobilizacji polskich żołnierzy nie był idealny, nie wszystkim udało się zapewnić odpowiednie warunki bytowe i właściwą pracę. Jedną z najbardziej pokrzywdzonych grup byli żołnierze zawodowi, zwłaszcza starsi wiekiem, którzy z trudem odnajdowali się w nowej rzeczywistości. Niemniej jednak brytyjski plan działał, spłacając chociaż w części zaciągnięty w czasie wojny dług krwi. Podsumował to gen. Anders, gdy zachęcał do wstępowania w szeregi nowej formacji: *Musicie zrozumieć, że PKPR jest rozwiązaniem brytyjskim, a nie polskim. Wszystkie nasze władze naczelne przyjęły jednak to rozwiązanie nie jako najlepsze, ale jako jedyne możliwe w obecnych warunkach. PKPR daje nam możliwość przetrwania w takich warunkach, znalezienia pracy i ewentualnie przygotowania do zawodu cywilnego. Wielu z nas jest bardzo niecierpliwych. Trzeba jednak pamiętać, że Wielka Brytania jest tym krajem, który wyciągnął do nas rękę i daje możliwość opieki nad setkami tysięcy ludzi.*

Dla tysięcy Polaków Wielka Brytania stała się nowym domem, nie zawsze najlepszym, ale bezpiecznym i przyjaznym. ■



Żołnierze 4. Pułku Pancernego „Skorpion” 2. Korpusu Polskiego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w obozie przejściowym. Hartford Bridge, Wielka Brytania, 1947 r. FOT. OŚRODEK KARTA



Jak młodzież walczyła z komuną przy pomocy „gadał”

TEKST | Grzegorz Majchrzak

Wraz z rozwojem opozycji, szczególnie w latach 80., rosła również ilość oraz różnorodność form „walki z komuną”. To w ostatniej dekadzie PRL pojawiła się m.in. niezależna radiofonia. Miała ona zresztą nader zróżnicowane oblicza – od klasycznych audycji na fonii Polskiego Radia i Telewizji Polskiej, po wchodzenie na wizję TVP czy nadawanie audycji przy wykorzystywaniu tzw. gadał.

„Gadały”, to zestawy składające się najczęściej z magnetofonu, głośników oraz wzmacniacza. Ich ustawianie – szczególnie w miejscach, gdzie czyniono

tak wielokrotnie lub w ruchliwych punktach miast – nie należało do zadań łatwych, choć inwencja działaczy opozycji była ogromna. Nic zatem dziwnego, że te zestawy nagłaśniające

najczęściej ustawiali ludzie młodzi – sprawni i szybcy – i gotowi w razie potrzeby do błyskawicznej ucieczki, niestety nie zawsze zresztą udanej. „Gadały” stawiano w kilku miastach

(m.in. w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu), ale zdecydowanie najczęściej w Warszawie. W stolicy była to domena Grup Oporu „Solidarni”, czasem we współpracy z Federacją Młodzieży Walczącej. Wbrew pozorom jednak często nie wiemy do dziś, czym dziełem była dana akcja.

- W dniu 10.04.1985 r. o godz. 21.30 ujawniono na budynku nr 44 przy ul. Narbutta urządzenie nagłaśniające skierowane w kierunku pobliskiego Aresztu Śledczego z nagraniem audycji tzw. Radia „Solidarność”. Było to urządzenie sprawne, zrobione sposobem domowym w formie obudowanego głośnika z magnetofonem kasetowym w środku, z zasilaniem na 24 baterie produkcji francuskiej. Z powodu niezbyt doskonałej konstrukcji, słowa i muzyka nadawane z tego urządzenia były niezrozumiałe. Urządzenie to zostało w kilka minut od jego otworzenia wyłączone, zdjęte z dachu i zabezpieczone przez D[zielnicy] U[rząd] S[raw] W[ewnętrznych] Warszawa - Mokotów. Przeprowadzone rozmowy z lokatorami okolicznych budynków oraz penetracja najbliższej okolicy nie naprowadziły na ślad powyższego czynu - pisano w jednym z meldunków, który stał się zresztą podstawą założenia sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Program”. Celem było ustalenie „sprawców zainstalowania urządzenia” oraz konstruktorów „gadały”. Tu od razu małe wyjaśnienie - nie była to ani pierwsza, ani też ostatnia „audycja więzienna”.

Mimo podjętych wszechstronnych działań, w tym werbunku agentury w okolicy więzienia na Rakowieckiej - esbekom z Mokotowa nigdy nie udało się wpaść na trop ani emiterów, ani tym bardziej konstruktorów „gadał”. I po ponad pięciu latach - 5 grudnia 1988 roku - dalsze działania postanowiono przekazać wyżej, do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Skoro już jesteśmy przy tzw. audy-

cjach więziennych, to właśnie jedna z nich - z Sylwestra 1982 roku - stała się najgłośniejszą w przypadku wszystkich nadanych przy wykorzystaniu tzw. gadał. Została ona nadana z inicjatywy osób związanych z Komisją Interwencji i Praworządności Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, zorganizowanej w tzw. solidarnościowym karnawale przez późniejszych twórców warszawskiego Radia „Solidarność” - Zofię i Zbigniewa Romaszewskich. Na pomysł audycji wpadli Jarosław Kosiński i Anna Jaworska, którzy również byli jej organizatorami.

Po prawie 40 latach tak ją wspomina Kosiński: *Z tego, co pamiętam, tam było tak dwóch - trzech chłopaków i ze dwie dziewczyny, ubrani jak na Sylwestra, z balonikami, no i sprzętem nagłaśniającym. Dzień lub dwa dni wcześniej wymienili kłódkę na strych na własną, więc w Sylwestra ten element mieli już „z głowy”. Na taśmie było na początku kilka minut ciszy, więc po ustawieniu i włączeniu sprzętu, mieli czas na opuszczenie dachu i samej okolicy. Audycja nie udałaby się bez wsparcia podziemnej „Solidarności” z Instytutu Badań Jądrowych - pieniądze na jej potrzeby przekazała jej działaczka Joanna Janowska, dzięki której pozyskano również konstruktora sprzętu nagłaśniającego - Andrzeja Sikorskiego. Audycja - emitowana pod szyldem Radia „Solidarność” - zaczynała się od jego sygnału wywoławczego (fragmentu piosenki „Siekiera, motyka”) i zawierała pozdrowienia dla członków i sympatyków związku osadzonych przy Rakowieckiej, przemówienie szefa Regionalnej Komisji Wykonawczej „Mazowsze” Zbigniewa Bujaka, porady dla przesłuchiwanym, nazwiska domniemyanych donosicieli z mokotowskiego więzienia, informacje - kalendarium działalności opozycji, a także (na zakończenie) skróconą wersję audycji dla „śpiochów i nie-*

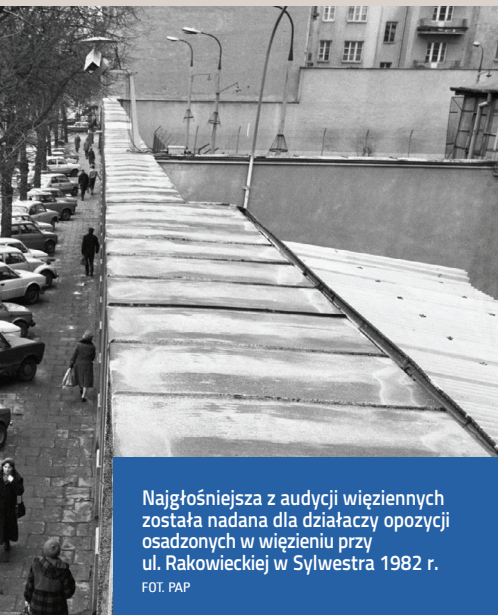
ważnych”. Nie udało się niestety nadać jej całej, gdyż została przerwana przez funkcjonariuszy Komendy Dzielnicy Milicji Obywatelskiej Warszawa-Mokotów, którzy „namie-



rzyli” i zdemontowali użyty do jej wyemitowania sprzęt. Nie zmienia to w niczym faktu, że okazała się ogromnym sukcesem jej organizatorów. Jak wspominała po latach Romaszewska, „goszcząca” wówczas na Rakowieckiej: *W czasie Sylwestra 1982 miałam spore szczęście (...) Nagle usłyszałam swój głos: „Tu Radio Solidarność”... Udało mi się usłyszeć całą audycję. Była całkowita cisza. Po zakończeniu audycji we wszystkich celach zaczęto walić w drzwi i menażki. Zrobił się niesamowity raban (...) Choć brzmi to absurdalnie, był to najpiękniejszy Sylwester w moim życiu. To było bardzo podnoszące na duchu... Bo też jednym z celów „audycji więziennych” było podniesienie na duchu działaczy opozycji osadzonych przy Rakowieckiej.*

Wspomniana wcześniej w esbekim meldunku audycja z 10 kwietnia 1985 roku zakończyła się interwencją „atandy”, czyli funkcjonariuszy więziennych uzbrojonych w tarcze i pałki,

ktorzy musieli pacyfikować więźniów demonstracyjnie hałasujących metalowymi naczyniami. Wystarczyła melodia wywoławcza Radia „Solidarność”. Ta emisja była dziełem Grup



Najgłośniejsza z audycji więziennych została nadana dla działaczy opozycji osadzonych w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Sylwestra 1982 r.
FOT. PAP

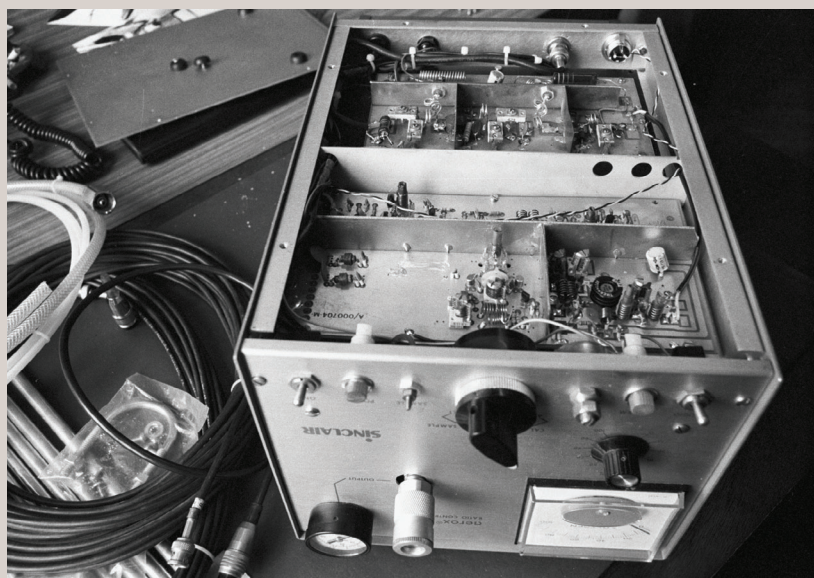
cej. „Czujna” Służba Bezpieczeństwa w latach 1982–1988 naliczyła ich, a dokładniej prób ich nadania łącznie osiem.

I tak niepowodzeniem zakończyła się np. pierwsza z tych prób, z 7 grudnia 1982 roku. Próbowano emitować z terenu Szkoły Głównej Planowania

„Tu Radio Solidarność”... Po zakończeniu audycji we wszystkich celach zaczęto walić w drzwi i mezażki. Choć brzmi to absurdalnie, był to najpiękniejszy Sylwester w moim życiu

urządzenia zamontowane na dachu połączono z nią kablem, owiniętym wokół piorunochronu. Zamyśl organizatorów (osób związanych z podziemnym wydawnictwem CDN) emisji wydawał się sprytny i – co równie ważne – bezpieczny, otóż włączenie lampy o zmroku miało spowodować uruchomienie aparatury nadawczej. Spróbowali nawet zabezpieczyć się przed przypadkowym uniemożliwieniem wyemitowania przygotowanej przez siebie audycji – na drzwiach windy umieścili kartkę z napisem: „Winda nieczynna”, a na drabinie prowadzącej na strych drugą o treści: „Zamknięte, naprawa dachu na przejściu”. Nie przewidzieli jednego – ludzkiej nadgorliwości. Nadanie audycji uniemożliwili pracownicy szkoły – o przewodzie „łapiącym prąd” przelozonych poinformowała Alicja Turzyńska, a Andrzej Jabłoński i Anna Miłojewska zdemonstrowali kable wystające z puszek. Ich szefowie z kolei powiadomili Milicję Obywatelską. Na niewyemitowaną audycję składały się informacje i komunikaty dotyczące działalności opozycji (np. o procesie jednego z liderów dolnośląskiej „Solidarności” Władysława Frasyniuka), przemówienie Bujaka, wiersz Kazimierza Wierzyńskiego „Na proces moskiewski”, a także piosenki lub ich fragmenty („Solidarni nasz jest ten dzień”, „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka oraz hymn Polski). W tym przypadku nie był to więc sukces Służby Bezpieczeństwa, tylko pech.

Trzeba jednak podkreślić, że i bezpieka w swoich działaniach operacyjnych odnosila – również w przypadku „gadał” – sukcesy. Było to możliwe dzięki Marianowi Kotarskiemu (właściwie Pękalskiemu), który był kadrowym funkcjonariuszem Departamentu II MSW (kontrwywiadu) rozpracowującym warszawskie podziemie, zwłaszcza Grupy Oporu „Solidarni”, których oficjalnie był „działaczem”. Niewykluczone, że to dzięki niemu



Przejęta przez Służbę Bezpieczeństwa radiostacja Radia „Solidarność” FOT. PAP

Oporu „Solidarni”, a konkretnie Grupy „Witka” / „Waldka”, której szefem był Wiktor Świercz. Brali w niej również udział członkowie Federacji Młodzieży Walczącej. Takich „więziennych” audycji było zresztą zdecydowanie wię-

i Statystyki (obecnie Szkoły Głównej Handlowej). Na jej dachu ustawiono popularny w tym czasie magnetofon marki „Kapral”, wzmacniacz „Akord 40” oraz cztery głośniki „Unita – Tonsil” (umieszczone na drewnianych stelażach i sprzężone w pary). Aparatura ta miała być zasilana z puszek lampy oświetleniowej – w tym celu

właśnie fiaskiem zakończyła się audycja zaplanowana na 1 lutego 1988 roku, a przeznaczona dla osadzonego przy Rakowieckiej przywódcy Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego. O emisji wiedział jego macierzysty Wydział VI Departamentu II MSW, który 30 stycznia przekazał Stołecznemu Urzędowi Spraw Wewnętrznych informację o przygotowywanej akcji – w efekcie SB i MO obstawili okolicę więzienia i w tej sytuacji wyemitowanie audycji okazało się niemożliwe.

O czym była mowa w stolicy przy wykorzystaniu „gadał” emitowano nie tylko w okolicy aresztu śledczego przy Rakowieckiej. I tak np. w trzecią rocznicę wprowadzenia stanu wojennego działacze Grup Oporu „Solidarni” oraz Federacji Młodzieży Walczącej przeprowadzili jedną z najbardziej brawurowych tego rodzaju akcji. Tym razem sprzęt nadawczy ulokowali w skrzynce elektrycznej stacji „trafo” w przejściu podziemnym między Alejami Jerozolimskimi oraz ulicą Marszałkowską. Za montaż „gadały” odpowiadali Jacek Winek („Winniczek”) i Wojciech Nachiło („Waldeczek”) z GO. Jak po latach relacjonował Jacek Górski z FMW: *Przebrani w robotnicze drelichy z torbami monterskimi na ramieniu, mają się wcielić w role pracowników zakładu energetycznego. Na pozostałych kilkunastu kolegach spoczęło przygotowanie operacji i obstawienie całego terenu. W przypadku wpadki mamy wszyscy spróbować odbić „jeńców”. Atmosfera napięta, my jednak zamiast się denerwować pękamy ze śmiechu widząc jak się wystroili. Z komicznymi beretami z antenką na głowach, znudzonymi minami i „petem” bez filtra w ustach spokojnie otwierają „trafo”, uruchamiają gadałę, zamykają kłódkę i leniwym krokiem oddalają się. W chwilę po odejściu „facetów w berecikach” zaczyna się audycja Radia „Solidarność”. Zbiera się tłum, natychmiast*

pojawiają się milicjanci, stale patrolujący to przejście. Próbują otworzyć metalową szafę „trafo” w końcu widząc migające światelko.

Wyemitowana tego dnia audycja miała oczywiście charakter rocznicowy – była poświęcona trzeciej rocznicy „wojny polsko-jaruzelskiej”. Zawierała również wezwanie do dalszego

Z komicznymi beretami z antenką na głowach, znudzonymi minami i „petem” bez filtra w ustach spokojnie otwierają „trafo”, uruchamiają gadałę, zamykają kłódkę i leniwym krokiem oddalają się

Andrzeja Niedka. Wykorzystano w tym celu urządzenie skonstruowane przez Janusza Ramotowskiego „Przema”, Wiesława Siekluckiego z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz inżyniera Józefa Lenartowicza z Insty-



Młodzieżowa grupa ulotkowa z Pragi Południa nadała audycję sprzed grochowskiego Uniwersamu FOT. PAP

oporu. Jednak najgłośniejszą – poza oczywiście tą z Sylwestra 1982 roku – nadano na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, a dokładniej na terenie tzw. dolinki katyńskiej w dniu 1 sierpnia 1982 roku. Była ona dziełem Grup Oporu „Solidarni” (wówczas jeszcze pod nazwą Grupy Specjalne RKW Mazowsze), a konkretnie zespołu pod kierownictwem „Alka”, czyli

tutu Badań Jądrowych. W tym przypadku Grupy Specjalne działały na zlecenie podziemnych władz regionu. Całą akcję koordynował Czesław Bielecki, który również dostarczył kasety z nagraniem oraz Teodora Klincewicza (szefa GS). Była to wyjątkowo bra-

wurowa akcja. „Gadała” została ustawiona na oczach osób obecnych wówczas na Powązkach, w tym również bezradnego funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej – inspektora Komendy Stołecznej MO B. Bojanowicza.



W trzecią rocznicę wprowadzenia stanu wojennego działacze FMW i Grup Oporu „Solidarni” wyemitowali audycję m.in. o „wojnie polsko jaruzelskiej”. Sprzęt został ulokowany w przejściu podziemnym pomiędzy Al. Jerozolimskimi i ul. Marszałkowską FOT. PAP

W sporządzonej „na gorąco” notatce służbowej pisał: *Ok[olo] godz. 17.30 trzech nieznanymi mężczyzn umieściło na cokole pomnika AK pudło obsypane brezentem o wymiarach 40 x 40 x 40 cm, w którym umieszczone było urządzenie odtwarzające i nagłaśniające. Czujny milicjant był jednak bezradny, jak dodawał: Ze względu na b[ardzo] dużą liczbę osób grupujących się wokół pomnika AK interwencja w stosunku do sprawców tego czynu była niemożliwa. Trzeba w tym miejscu dodać, że był to również efekt „sztucznego tłoku” zorganizowane przez członków Grup Specjalnych.*

Niezwykłą inwencją wykazała się 13 grudnia 1985 roku młodzieżowa grupa ulotkowa z Pragi Południe. Tego dnia – w godzinach popołudniowych – nadawali sprzed głównego wejścia do Domu Handlowego „Uni-

wersam” przy Rondzie Wiatraczna. „Gadała” zamontowano na wózku do rozwożenia mleka w garażu małżeństwa Nawrotów zamieszkałych przy ul. Chłopskiej. Z kolei metalowa obudowa chroniąca sprzęt nagłaśniający została najprawdopodobniej wykonana – specjalnie zresztą na potrzeby emisji – przez jednego z działaczy podziemnej „Solidarności” w Warszawskich Zakładach Radiowych „Rawa”. Bo Związek, a konkretnie Ryszard Walendzik („Staszek”) oraz Andrzej Czaja (wykładowca i działacz „Solidarności” na Politechnice Warszawskiej) byli jej zleceniodawcami i dostarczyli również sprzęt niezbędny do emisji (w tym kasetę z nagraniem samej audycji).

Miejsce emisji i sposób jej przeprowadzenia – przymocowanie wózka (wraz z umieszczoną w nim „gadała”) łańcuchem do filaru budynku Uniwersytetu – wymyślił Cezary Karwowski (wówczas uczeń XLVII Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego w Warszawie). On też przyprowadził wózek ze sprzętem na miejsce emisji. Pomagali mu: Jarosław Karwowski („Kajetan”, student Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, szef grupy), Piotr Środa (student Wydziału Fizyki UW) oraz Jarosław Wrzosek (uczeń XLVII LO im. Stanisława Wyspiańskiego). Udało się wyemitować całą, długą, bo trwającą ponad 30 minut, audycję. A wszystko to w nader spektakularnych okolicznościach, gdyż na oczach bezradnych funkcjonariuszy Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej oraz MO, którzy nie byli w stanie rozbić kłódek użytych do zabezpieczenia przed otwarciem pokrywy wózka. Jak po latach wspominał Czaja, miało zresztą dojść do zabawnej sytuacji. Mianowicie, *kiedy jeden z rozczyszczonych milicjantów wskoczył na wózek i zaczął go kopać nogami. Ktoś z tłumu zawołał: „Nie nogami, panie*

sierżancie! Głową”, co wzbudziło powszechny śmiech. Audycja miała charakter rocznicowy. Zawierała m.in. oświadczenie władz krajowych podziemnej „Solidarności” (Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej) w związku z rocznicą wydarzeń Grudnia '70 z dnia 15 listopada 1985 roku, „Przegląd wydarzeń krajowych” Stefana Bratkowskiego, a także tekst poświęcony wyborom do Sejmu PRL. Zaczynała się od piosenki „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka. Przygotowali ją: Ewa Cieplińska (kreślarka z Centralnego Ośrodka Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa), Czaja i Walendzik. Pierwszych dwoje pełniło również rolę spikerów.

O czym była na początku mowa „gadały” wykorzystywano również w innych miastach. I tak np. przed 10 listopada 1982 roku sukcesem okazała się długa – trwająca 35 minut – audycja na Rynku Głównym w Krakowie, wyemitowana z głośników umieszczonych na rusztowaniach remontowanego tam właśnie budynku. Inną uliczną audycję pod Wawelem nadano w podobny sposób 15 kwietnia 1983 roku na ul. Floriańskiej. Składały się na nią m.in. podziękowania Lecha Wałęsy dla związkowców przekazane przez stojącego na czele Regionalnej Komisji Wykonawczej „Solidarność” Małopolska Władysława Hardka. Z kolei 28 czerwca 1984 roku w ten sam sposób „grano” w Poznaniu dla działaczy opozycji osadzonych poznańskim więzieniu przy ul. Młyńskiej.

„Gadały” były ustawiane do końca lat 80. Z czasem jednak ich atrakcyjność spadała. Tym bardziej, że koszty utraconego sprzętu czy zagrożenie wpadką okazały się większe niż potencjalne korzyści (informacyjne czy propagandowe). I dziś mają swoje – ważne – miejsce w „walce z komuną” w latach 80. ■

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Artyści wspierający Solidarność, czyli Jack Nicholson i akcja Jerzego Koźnika

FOT. PAP

TEKST | Mateusz Wyderka

Kiedy 20 grudnia 1970 roku Edward Gierek został wybrany na funkcję pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, w społeczeństwie pojawiła się nadzieja na zmiany. Szczególnie po masakrze robotników na Wybrzeżu, kiedy towarzysz Wiesław, czyli dotychczasowy pierwszy sekretarz Władysław Gomułka, podjął decyzję o użyciu broni wobec strajkujących. Gierek, który pracował wcześniej w Belgii i mówił biegle po francusku, nieco odróżniał się od tzw. partyjnego betonu, przynajmniej pozornie.

Nadzieje płynące z początkiem jego władzy w pewnej części zostały spełnione. W czasie dekady Gierka podjęto bowiem, wiele dużych inwestycji, na które zaciągnięto kredyty w krajach zachodu. Względem rządów Gomułki wzrosła konsumpcja i stopa życiowa obywateli. Granice zostały częściowo otwarte. Była to pozytywna zmiana względem poprzednich lat życia w PRL.

- Dobrobyt na kredyt nie mógł trwać wiecznie - zagraniczni wierzyciele zaczęli domagać się zwrotu pożyczek. Polityka podnoszenia płac przy jednoczesnym zamrożeniu cen

zaowocowała pojawieniem się w połowie lat 70. tzw. nawisu inflacyjnego - czyli pieniędzy gotowych do wydania w momencie „upolowania” w sklepie jakiegokolwiek atrakcyjnego towaru. Ludzie bali się, bowiem deprecjacji oszczędności i podwyżek cen. Ze sklepów zniknęły więc towary, zaczęły pojawiać się puste półki - zauważył dr Andrzej Zawistowski z Instytutu Pamięci Narodowej.

W połowie lat 70-tych nastąpiło załamanie. Można powiedzieć, że Gierek padł ofiarą rozbudzonych przez siebie nadziei. 25 czerwca 1976 roku rozpoczęły się strajki. W 112 zakładach

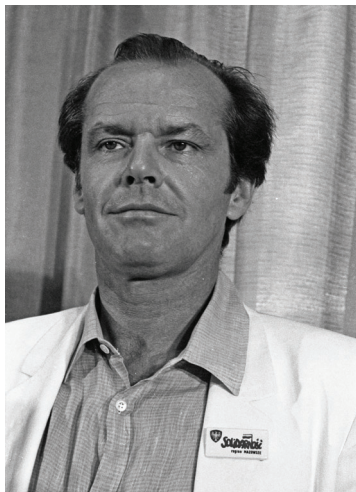
pracy, na terenie 24 województw, przyłączyło się do nich ponad 80 tys. osób. Strajkom towarzyszyły demonstracje uliczne. Oficjalnym powodem była zapowiedź podwyżek cen żywności, jednak to tylko kropla, która przełamała istniejącą już czarną goryczkę.

- Nastąpiło przegrzanie gospodarki, trzeba było zacząć spłacać długi i okazało się, że gospodarka się wali. Pozostało ratowanie się nowymi kredytami, w efekcie zaczęła się zaciskać pętla zadłużeniowa. Drugie pięciolecie Gierka to już była tylko nieudana ucieczka przed nadciągającą katastrofą, która doprowadziła w 1980 roku

do największej fali strajków po wojnie – analizował prof. Antoni Dudek.

Na fali tego niezadowolenia Solidarność przeżywała swój najlepszy okres nazwany „karnawalem Solidarności”.

Solidarność cieszyła się szeroką sympatią wśród zachodniego społec-



zeństwa. Żaden ruch społeczny nie był popierany jednocześnie przez prezydenta Reagana, eurokomunistę Carrillo, Berlinguera i papieża (...) chrześcijan i komunistów, konserwatyistów, liberałów i socjalistów – analizował w „Polska rewolucja: Solidarność” brytyjski historyk Timothy Garton Ash.

Znamienne były wydarzenia festiwalu filmowego w Cannes 1981 roku, kiedy znaczek Solidarności został rozpropagowany przez Jacka Nicholsona. Kilka lat później ze znaczkami Solidarności wpiętymi w swoje kreacje, dumnie pokazywały się takie gwiazdy, jak Jack Nicholson, Jane Fonda, Carole Bouquet, Nastassja Kinsky czy Grace Jones. Duży, wręcz kluczowy udział w tej akcji miał polski fotograf Jerzy Kośnik.

– Kiedy w maju 1981 roku miałem wyjechać na Festiwal Filmowy w Cannes, po raz pierwszy czułem żal, opuszczając Polskę. Tyle się wtedy działo. Karnawał Solidarności trwał nieprzerwanie już od wielu miesięcy.



Znamienne były wydarzenia festiwalu filmowego w Cannes 1981 roku, kiedy znaczek Solidarności został rozpropagowany przez Jacka Nicholsona

Dla lepszego samopoczucia zabrałem garść znaczków Solidarności Regionu Mazowsze – wspomina na swoim blogu fotograf.

Można zaryzykować tezę, że nad wszystkim czuwała jakaś opatrność. Kośnik bowiem nie planował żadnej akcji informacyjnej, czy jakbyśmy to dzisiaj nazwali – marketingowej. Wyjechał do Cannes, jako fotograf maga-



Fotograf Jerzy Kośnik w koszulce promującej film Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”, w festiwalowej restauracji przy Promenade de la Croisette w Cannes. Francuski tytuł filmu – „L'homme de fer” – napisany jest charakterystyczną czcionką, jaka widnieje w logo NSZZ „Solidarność”
FOT. PAP

zynu „Film”, by po prostu zrobić trochę dobrych zdjęć. W tym celu udał się na konferencję prasową, na której Jack Nicholson opowiadał o filmie „Listonosz zawsze dzwoni dwa razy” (1981) z Jessicą Lange.

– Przekrój prasy był olbrzymi, a pytania często rodem z magla. Zebrałem się na odwagę i zadałem pytanie: czy Jack lubi Solidarność? Pytanie wydało się równie niedorzeczne, co poprzednie, a Jack poprosił o jego powtórzenie. Rozwinąłem je więc o wątek historyczny, a dla pełnego zrozumienia mnie dodałem, że jestem z Polski. Tym razem Nicholson jasno i dobitnie odpowiedział: „Tak, lubię”. Niewiele więc myśląc, po zakończeniu konferencji wręczyłem mu znaczek Solidarności – wspominał fotograf.

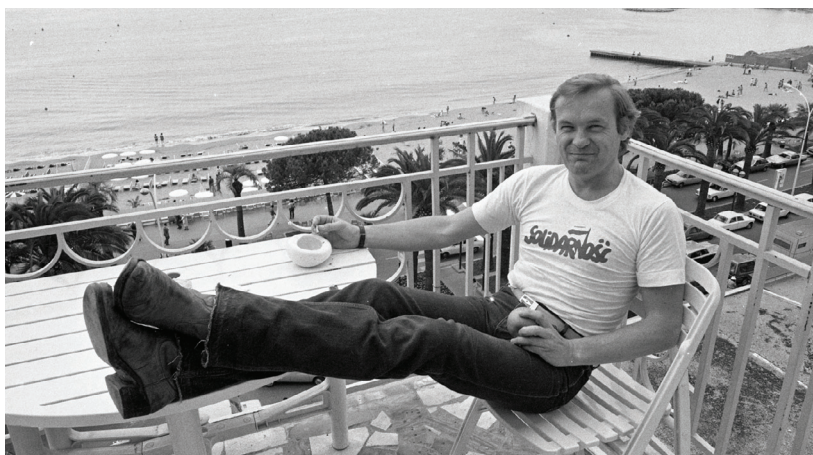
Amerykański gwiazdor nie zamierzał kryć się z otrzymanym prezentem i dumnie przypiął go na oczach zgromadzonych wokół dziennikarzy. Kośnik oczywiście nie mógł nie wykorzystać takiej okazji. – Oszalałem! Zrobiłem wtedy ze trzysta zdjęć, które potem odbity się takim echem. To było naprawdę fantastyczne – wyznał. Polska przeżywała podczas tego festiwalu swój wielki czas. 27 maja 1981 roku. Złotą Palmę dostał bowiem

„Człowiek z żelaza” (1981) w reż. Andrzeja Wajdy. – *Wszyscy byli szalenie życzliwi. Wróciliśmy w poczuciu triumfu* – opowiadała Krystyna Zachwatowicz.

Niestety entuzjazmu fotografa i polskiej ekipy, nie podzielał jego przełożony z redakcji „Filmu”, którego zdaniem zdjęcie... nie nadawało się. Nie trzeba być szczególnie byстрыm, by wiedzieć, że z całego zdjęcia najbardziej nie nadawał się zapewne znaczek Solidarności.

– *Dumny z siebie pokazałem je naczelnemu, ale on dostał białej gorącz-*

FOT. PAP



Reżyser Jerzy Skolimowski na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes, 1 maja 1981 r. FOT. PAP

ki i stwierdził, że fotografia nie kwalifikuje się do druku – podsumował Kośnik. Takich rozterek nie miał Zygmunt Kałużyński z „Polityki”, który umieścił fotografię z Nicholsonem i znaczkiem Solidarności na okładce. „Film” natomiast zrezygnował z usług Jerzego Kośnika. Trzeba przyznać, że było to wyjątkowo żenujące zachowanie. Jakby tego było mało, fotograf musiał się gęsto tłumaczyć.

Niestety niedługo później wprowadzono w Polsce stan wojenny. Rozpoczęły się aresztowania osób związanych z opozycją, internowanie przywódców i nasilenie represji.

W odpowiedzi na zaistniałe wydarzenia środowisko aktorskie postanowiło bojkotować państwowe media.

Czołowe postaci świata filmu, dumnie pozowały w przypinkach ze znaczkami Solidarności. Szczególnie interesująca się sytuacją w Polsce Jane Fonda. Podobnie mająca polskie korzenie Nastassja Kinski

wiło bojkotować państwowe media. – *Nie było żadnej daty granicznej, to nie zaczęło się od jakiegoś płomiennego przemówienia. Ja sama o bojkocie dowiedziałam się w sposób identycz-*

ny, jak inni koledzy; po prostu zaczęło się słyszeć: nie gramy w telewizji, nie gramy w radio. Ten mechanizm bardzo szybko zaczął funkcjonować w naszym środowisku, jako coś oczywistego. Zdawaliśmy sobie przecież sprawę, że telewizja i radio były w tamtym – w stanie wojennym – nośnikiem propagandy. Nie mogliśmy wpisywać się w ten polityczny kontekst. Nie chcieliśmy firmować swoimi twarzami kłamstw, które się wtedy tam mówiło. Część środowiska przyjęła to, jako coś całkowicie normalnego – wspominała w rozmowie z Polską Agencją Prasową Joanna Szczepkowska. Wielu aktorów postanowiło wówczas wystąpić z PZPR. Uczynili tak, m.in. Mariusz Dmochowski – dyrektor Teatru Nowego, Tadeusz Łomnicki – członek Komitetu Centralnego, Jan Kulczyński – członek egzekutywy partyjnej w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie, Włodzimierz Bednarski – pierwszy sekretarz organizacji partyjnej w Teatrze Nowym. Aktorzy, którzy zdecydowali się poprzeć władzę, spotykali się ze społecznym ostracyzmem.

22 lipca 1983 roku ogłoszono zakończenie stanu wojennego. To, co po nim zostało, to przede wszystkim znaczna polaryzacja społeczeństwa, choć jednocześnie trzeba zaznaczyć,

że władza utraciła poparcie wielu przychylnych jej dotychczas osób. Do towarzyszy partyjnych zaczęła powoli docierać świadomość sytuacji, w jakiej się znaleźli. System mógł już jedynie dogorywać. To zaczęło budzić ogromną frustrację, której znakiem były bandyckie zachowania, jak zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki (prawdopodobnie 19 października 1984 roku).

W dniach od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 roku odbyły się negocjacje władzy z opozycją nazwane „Obradami Okrągłego Stołu”, którego wynikiem były częściowo wolne wybory 4 czerwca 1989 roku. Po swoim wyczynie Koźnik został odsunięty na boczny tor. Przynajmniej oficjalnie. Choć fotograf nie miał gdzie publikować, wystawy

z jego pracami przyciągały tłumy. Jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego, zgłosił się do Solidarności, jako fotograf społeczny. Fotografował wszystkie protesty aż do końca lat 80. Wiele z nich udostępniał zachodniej prasie. Bieg wydarzeń 1989 roku ponownie porwał fotografa, który postanowił raz jeszcze wyjechać z zapasem znaczków Solidarności na festiwal w Cannes.

– *Wróciłem do tego pomysłu w maju 1989 roku, przed wyborami w Polsce. Byłem wtedy na festiwalu w Cannes prywatnie. Zaproponowałem pięciu aktorkom udział w takiej sesji. Zgodziły się cztery – Grace Jones, Nastassja Kinsky, Jane Fonda i Carole Bouquet – opowiadał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.*

Tym razem również odniósł sukces. Czołowe postaci świata filmu, dumnie pozowały w przypinkach ze znaczkami Solidarności. Szczególnie interesująca się sytuacją w Polsce Jane Fonda. Podobnie mająca polskie korzenie Nastassja Kinsky. Zdjęcia te cieszyły się ogromną popularnością wśród pism i agencji fotograficznych.

Wkład, jaki Jerzy Koźnik włożył w popularyzację Solidarności jest niebagatelny. Można powiedzieć, że fotograf nakręcił swoistą modę na Solidarność.

Według przekazu Jerzego Skolimowskiego, Jack Nicholson – dzięki Romanowi Polańskiemu, bardzo dobrze zorientowany o sytuacji w Polsce – otrzymany od fotografa znaczek przechowywał niczym ikonę. ■

Pożegnanie

mjr Stosław Kowalski (21 VII 1922–10 VI 2024)

W wieku 102 lat na wieczną wartę odszedł jeden z ostatnich żołnierzy gen. Władysława Andersa, uczestnik bitwy o Monte Cassino mjr Stosław Kowalski. Ostatnie pożegnanie odbyło się w Kościele Polskim w Buenos Aires.

Stosław Kowalski urodził się w Toruniu, ale wychowywał w Wilnie. W 1940 roku wraz z mamą i siostrą deportowany do Kazachstanu. Po przyjęciu do polskiego wojska opuścił ZSRR razem z Armią Andersa. Służył w 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Ukończył Szkołę Podchorążych w Habanii, został wyznaczony na stanowisko instruktora w Szkole Podchorążych w palestyńskiej Gederze.

Pan major mimo wieku i słabnącego stanu zdrowia był z nami w maju na uroczystości 80. rocznicy bitwy o Monte Cassino w Republice Włoskiej. Jak zawsze podkreślał swoją miłość do Ojczyzny.

„Walcząc i ginąc na Monte Cassino, całym sercem oddani byliśmy Polsce. Z tego jestem dumny, ale jestem też szczęśliwy, że żyję i mogę tam jeździć, bo zdaję sobie sprawę z tego, że w moim wieku to już nie jest łatwe. Walczyliśmy o to, żeby Polska była wolna” – wspominał w rozmowach.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!



Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady, uroczystości w Warszawie (12 czerwca 2024 r.) i w byłym niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady Auschwitz (14 czerwca 2024 r.)



FOT. URSZULA (5)

40. rocznica powstania Federacji Młodzieży Walczącej, Warszawa, 8 czerwca 2024 r.

